

Parandowski Jan

Eseje o Starożytności

WIENIEC OLIMPIJSKI

Młody Koroibos stał w otwartych drzwiach swego domu i z wytężeniem patrzył na drogą, idącą z Pisy. W siwym brzasku płynął tam biały obłok i Koroibos klasnął w dłonie, gdy wreszcie udało mu się w tumanie kurzu pochwycić kształt człowieka.

-- Gонец I

Wpadł między domy Elidy razem z pierwszym słońcem. Nie odpowiadał na pytania, zatrzymał się dopiero na placu miejskim. Dał płucom wytchnąć znużenie długiej drogi, lecz -- mimo że coraz większy tłum go naciskał -- milczał, wpatrzony w drzwi wysokiego domu. Gdy się otwały, wyciągnął prawą dłoń i krzyknął powitanie -- król stał pod słupami przedsionka. Gонец, wspierając się na swej lasce herolda, silnym głosem mówił słowa świętego przymierza. W najbliższą pełnię odbędą się igrzyska w Olimpii. Może w nich wziąć udział każdy Grek czystej krwi. Zaczyna się miesiąc święty, którego nie wolno naruszyć zgiełkiem oręża. Rozejm ma stanąć, gdziekolwiek toczy się walka. Ktokolwiek ukrzywdziłby pielgrzymów idących z daleka, ktokolwiek wszedłby na ziemię Elidy i Pisy z bronią w rękę, będzie wyklęty.

Rzekłszy swoje, gонец pozdrowił króla i ruszył dalej. Król wrócił do domu. Ludzie trwali w milczeniu, jak gdyby nazbyt nasyceni nieoczekiwaną nowiną. W istocie trudno ją było przewidzieć, chociaż powtarzała się w dość równych odstępach czasu. Igrzyska ogłaszano co cztery lata, w drugą lub trzecią pełnię po najdłuższym dniu w roku. Ale w owych czasach ziemia zbyt mało jeszcze uczyniła obiegów dokoła słońca od chwili, kiedy Grecy osiedli swój kraj, i doświadczenie ludzkie nie zżyło się dostatecznie z nieomylną miarą dni, miesięcy i lat.

Któż by się tam troszczył o dalekie sprawy uciekającego czasu? Koroibos wymknął się z tłumy, zdjął chiton i przerzuciwszy go przez ramię, biegł nagi do swego domu na końcu miasta. Ojcu, stojącemu na progu, krzyknął: -- Olimpia! --■ i pognął dalej. Zaiste nie był to czas na rozmowy, na siedzenie za stołem, na doglądanie bydła, nie był to czas śniadań i gospodarstwa -- ten dzień, ten ranek, w którym heroldowie olimpijscy biegli w cztery strony świata, niebiescy i różowi od

świtu, nie wiadomo: od świtu zwykłego letniego dnia czy od świtu samej młodej Grecji.

Okrzyk, który Koroibos rzucił swemu ojcu: "Olimpia" -- brzmiał po wszystkich miastach, wsiach, osadach Achai, Elidy, Pisatis, Azanii, Trifylii, Mesenii, wdarł się w nieprzebytą gęstwę gór arkadyjskich i ciasnym wąwozem Tajgetu przeszedł do równin Iakońskich. Gdzie tylko parę domów siedziało nad brzegiem strumienia lub we wklęsłości gór, na piaszczystym wybrzeżu czy pod wzgórzem winorodnym, wszędzie znalazły się młode płuca, które tym okrzykiem śpiewały radość zdrowia i siły. Oto zbliża się czas, by ciało żwawe i gibkie, opalone słońcem, wygładzone surową dłonią wiatru i polnego powietrza, ćwiczone w domowych zapasach i rozrywkach, oddać na podziw tysiącom ócz, by nogi, tak znajome łąkom i miedzom rodzinnym, ponieść w tętniącym biegu po świętej ziemi olimpijskiej!

Zaczął się ruch niezwykły po wszystkich drogach. Dzień i noc skrzypiały wozy, tętniły kopyta koni, porykiwało bydło, przeznaczone do ofiar lub na sprzedaż, kupcy wieźli różne towary: wielkie święto było jednocześnie wielkim jarmarkiem. Koroibos nie mógł się pogodzić z powolnością ojca. Stary opatrywał wóz, badał kopyta mułów, odstawiał naczynia z winem, z oliwą, sery, chleby, czyniąc, jak się młodemu zdawało, zapasy, które by wystarczyły Odyseuszowi na dziewięć lat tułaczki. Ruszył dopiero razem z królem, któremu towarzyszyło ponad sto wozów. Pod zachód słońca zdążono do źródła Piera, którego srebrzysty szept zapowiadał granicę między Elidą a świętą dziedziną Olimpii. Złożywszy ofiary, które nakazywał zwyczaj, spędzono noc w niedalekich Letrinach. Był to krótki odpoczynek i mrok zaledwie siwieć zaczynał, gdy znów dano hasło do drogi.

Koroibos nigdy nie widział równie cudnego brzasku. Zdawało mu się, że dzień nie świta, lecz po prostu gra,, gra przejmującym dźwiękiem trąby, która wewnątrz jest cała złota. Droga wysnuła się na odsłoniętą dolinę, a po prawej stronie miało się bławy bezmiar morza. Kilka statków żeglowało ku wybrzeżu, gdzie szerokim ujściem wpadał Alfejos. Na widok rzeki olimpijskiej Koroibos nie usiadł, ojca zostawił na wozie, a sam ruszył ku przodowi i minąwszy ostatni zaprząg, znalazł się wśród takich jak on, młodych i niecierpliwych.

Szli w tak ścisłej gromadzie, że ocierali się wzajemnie ramionami, ale tylko żwir chrzęszcza! pod skórą sandałów, żadne słowo nie obniżyło wysoko wspiętej ciszy. Los krążył nad nimi. Spojrzenia wiązały się i rozrywały. Któż może wiedzieć, czyje to oczy patrzają: zwyciężonego czy zwycięzcy? Któż odgadnie, czy właśnie te usta, które tak szczerze teraz dzielą się z twoimi, Koroibosie, przestronnym powietrzem równiny, nie porwą ci ostatniego tchu o krok od mety? Ale nie odszedłby od nich za nic w świecie. Tworzą jakby jedną rodzinę, złączoną węzłami tych samych porywów i nadziei. W zdrowiu, sile, dzielności

współzawodnika hartuje się, niby stai w ogniu, własna wytrwałość i wola zwycięstwa. Im on jest lepszy, tym żwawsze staje się pragnienie, by go przewyższyć. Gdyby tak było trzeba, Koroibos oddałby dzban swojej krwi, aby wzmóc prężność mięśni, aby podwoić chyżość nóg tych wielkodusznych wrogów, którzy mogą mu dać chwałę przed ołtarzem wielkiego boga.

Znacznie wyprzedzili wolno ciągnące wozy. Nie tak jednak daleko, by nie posłyszeć, że ci, co jadą w tyle, śpiewają. Bóg zsyła ich nabrzmałemu milczeniu tę pieśń. Podejmują słowa hymnu, odwieczna melodia zbiera ich głosy w jeden chór, podnoszą się serca przedziwną radością zgody i wspólnoty. Tak idąc ponad rzeką, co płynie ku morzu, wchodzą w gwarną rzekę ludzką, falującą wokół Olimpui.

Olimpia była wtedy, jak tysiąc lat później, jak zawsze, tylko miejscem świętym, bez domów prywatnych, bez ludności, oprócz kapłanów i służby świątynnej. Ale na czas igrzysk przemieniała się w Todzaj obozu z namiotami, szeregami wozów, straganami i kramami. W tym wieku sława igrzysk nie obejmowała jeszcze całego świata greckiego, zamykała się w szczuplejszych granicach zachodniej połaci Peloponezu, lecz już łączyła wiele rozproszonych plemion greckich wspólnym umiłowaniem boiska, uroczystą wymową obrzędów i na czas zjazdu pozwalała im odetchnąć słodką myślą o jednej ojczyźnie. W kilkotysięcznym zbiorowisku panował helleński duch swobodnego ładu, każda gmina, każdy szczep, każdy ród miały swoje miejsca, którym jednak pokrewieństwo, przyjaźń lub gościnność odbierały surowość nieustępliwych granic.

Elejczycy zajęli wyznaczone im pole. Koroibos pomógł ojcu wyładować wóz, rozpiąć namiot. Przyniósł wody, obmyli się, włożyli świeże szaty. Posiłek ich trwał niedługo: kawał sera, chleb, garść oliwek i kubek wina. Pilno im było odwiedzić miejsca święte, zanim słońce zapadnie w morze.

Żywopłót z tarniny otaczał Altis, gaj Dzeusa, zarosły drzewami dzikiej oliwki. Nie było tam jeszcze owego mnóstwa świątyń, gmachów, posągów, którymi późniejsze wieki pokryły całą przestrzeń. Ale Koroibos, który urodził się i wychował w chacie lepionej z gliny, zdumiał się na widok Herajonu, jedynej świątyni, dźwigającej się na swych obłych, drewnianych słupach, jak pałace bogów opisywane w baśniach. Wnętrze było ciemne i puste, nie zawierało nic prócz ołtarza i trójnogu. Na trójnogu leżał krąg spiżowy z wyrytym napisem: było to właśnie owo święte przymierze, potwierdzone imionami królów Elidy, Pisy i Sparty, którego słowa były zapowiedzią igrzysk.

Niedaleko Herajonu widziało się mogiłę Pelopsa, króla z dawnych czasów, któremu składano ofiary z czarnych baranów. Tuż obok stał słup drewniany, szczątek domu Ojnomaosa, spalonego od pioruna, straszliwy w swej czerni świadek gniewu bożego. Koroibos słuchał ob-

jaśnień ojca, podań i klechd, ale całą duszą przylgnął do otwartej przestrzeni po tamtej stronie ołtarza Dzeusa, który wznosił się na kształt pagórka. Boisko wysypano drobnym rzeczonym piaskiem. Żadna przegroda nie broniła dostępu, a przecież nie znać było ani jednego śladu; nikt się nie ważył wejść tam przed godziną zawodów. Zorze wieczorne oblały całe pole szkarłatem.

Skoro słońce zaszło i wzniósł się pełny księżyc, pogaszono wszystkie ogniska, by żaden blask ziemski nie naruszył uroczystej nocy. Pod namiotami, dokoła leż zawodników, roztoczyła się czujność ojców, stryjów, starszych braci, niema walka z każdym szmerem o spokój dla tych, którzy jutro przeżyją tak wiele. Sen, słodki piastun, wygładził wszystkie zmarszczki zwichrzonych serc i w srebrzystej ciszy usnęły młode dusze, jak pod skrzydłem bożym.

O świcie wszedł król do świętego gaju. Pod ołtarzem Dzeusa ustawiono dla niego tron, a obok -- ławki dla starszyny i kapłanów. Wśród nicji zasiadła jedyna kobieta, której wolno było wejść do Altis, kapłanka bogini Demetry. Służba przyniosła nagrody dla zwycięzców: trójnogi z brązu, puchary i czary złote, wspaniałe miecze, pięknie haftowane płaszcze; to wszystko złożono u stóp króla. Widzowie zawczasu zgromadzili się na stoku wzgórza Kronosa, tuż nad bieżnią. Zawodników wprowadził siwy starzec, naczelnik rodu jasnowidzów, Jamidów, którzy szczylicili się pochodzeniem od Apollona. Z górą stu młodych ludzi stanęło przed królem. Każdy powiadał imię swoje, ojca i gminy, z której pochodził, następnie herold ogłaszał je i zapytywał, czy ktoś z obecnych nie zna jakiejś zmayı na tym imieniu. Najtrudniej było ustalić wiek zawodników. Kto się wydawał niedorośląm chłopcem, temu król kazał się rozbierać i osądzał, czy budową ciała odpowiada swym latom i czy jest godzien zawodów. Wielu odprawił, jako zbyt słabo rozwiniętych. Resztę zaś dzielił na grupy: osobno najmłodszych, osobno tych, którym pierwszy zarost ocieniał policzki, trzeci rodzaj był tych, co stali w kwiecie dojrzałej męskości. Za czym podano urnę z losami. Na tabliczkach były wypisane litery. Zawodnicy wybierali je z odwróconą twarzą i nie patTząc pokazywali królowi. Ci, którzy mieli te same litery, byli przeznaczeni do wspólnego biegu. Gdy ukończono losowanie, okazało się, że ma się ścigać dziewięć grup: dwie z najmłodszych, cztery średnioletnie i trzy męskie. Liczba zawodników w grupach wahała się od sześciu do ośmiu.

Oznaczono dwie mety: jedną o dwanaście kroków od wielkiego ołtarza, drugą u krańca świętego okręgu, tam gdzie stał bezlistny, spróchniały pień drzewa. Starzec z rodu Jamidów zasiadł przy tej drugiej mecie, od której miały się zaczynać biegi. Zawodnicy tymczasem rozebrali się, natarli ciała oliwą i oczekiwali swojej kolei. Pierwszy był bieg z pochodniami. Brało w nim udział ośmiu mężczyzn. Stary Jamida każdemu podał zapaloną pochodnię, którą tworzyły po

wiązane szczapy sosnowe, i dał hasło. Bieg był trudny, bo należało uważać na pochodnię i trzymać ją prosto, by węgielki opadające nie oparzyły dłoni. Połowa, porwana pędem własnych nóg, zapomniała o wszystkim i biegła tak szybko, że pochodnie ich od razu zgasały. Widzowie obsypali ich śmiechem i drwinami. W drugiej czwórce każdy zachowywał się inaczej: ten nie odrywał oczu od swej pochodni tak, że potykał się i wpadał na towarzyszy, ów zwalniał kroku za najbliższym przymieraniem płomienia, wreszcie na pół odległości od mety najrozważniejszy nawet tracił pamięć i oddawał się zupełnej swobodzie biegu.

Wówczas okazała się dzielność Amintasa z Herai. Szybkość jego nóg zdawała się nie wzbudzać reszty ciała, które wyglądało jakby nieruchome. Płuca tylko podnosiły się krótkimi falami. Niósł pochodnię wysoko, napięte mięśnie nie pozwoliły ręce drgnąć ani na chwilę. Ale najwięcej godne podziwu było to, że jednocześnie ruchem nieznacznym obracał w palcach pochodnię, przez co płomień skręcał się, malał, nie poddawał się przeciwnościom powietrza i w tych nieustannych, drobnych obrotach mógł zawsze rozżarzyć się objęciem jakiejś nowej drzazgi. Tak wielkie panowanie nad każdym mięśniem, tak głęboką czujność ciała skupionego w pragnieniu zwycięstwa przyjął tłum ciszą, jakby się bał bodaj szmerem wytrącić go z tej niepojętej równowagi. Ale oto Amintas wbił się palcami lewej stopy w piasek mety i w tym ostatnim kroku zawisnął z drugą nogą wzniesioną, z ręką nieporuszenie ściskającą pochodnię: ten rzut jędrnego ciała czynił wrażenie oszczepu, który czyjaś dłoń cisnęła z daleka. Wbiegł na szczyt ołtarza i ogniem swej pochodni zapalił drwa, obłożone skórą i tłuszczem ofiarnego zwierzęcia. Herold królewski uśmierzył okrzyki, po czym ogłosił zwycięstwo Amintasa z Herai, który z rąk króla przyjął nagrodę: trójnog z brązu.

Następny bieg był znów męski, podwójny, gdyż należało przebiec tor dwukrotnie. Potem już szły biegi proste, które chłonęły przestrzeń w kilku oddechach. Wszystko odbywało się z oszołamiającą szybkością. Lśnienie nagich ciał, wir światła i cieni po piaszczystej równinie, tętent nóg, chrzęst żwiru, głosy zapowiadaczy i heroldów, imiona zwycięzców, które wraz z nazwami ich gmin krzyżowały się w wyobraźni, niby lotna karta kraju -- zaiste duszę tłumu niosła fala rozkoszy i upojenia. Nikt nie czuł głodu, pragnienia, skwaru. Każdy nowy bieg działał na widzów jak czara wina.

Gdy już słońce minęło szczyt nieba, herold ogłosił ostatni bieg. Koroibos, który należał do tej grupy, nie mógł opanować drżenia, dotknąwszy bieżni. Wasypano ją właśnie świeżym piaskiem, odrobinę jeszcze chłodnym. Była to najpiękniejsza szóstka tego dnia, los ich połączył, a wyglądali, jakby ich spośród tysiąca wybrano. Jednego wzrostu, jednakiej budowy ciała, ten sam lekki cień okrywał im górną wargę i policzki, zdawało się, że nie ma najmniejszej różnicy

w długości nóg, które grały wspólną harmonią w powolnym kroku do startu.

Nikt się z nimi nie śpieszył. Stary Jamida kazał pogłębić kresę na lpiasku i wynajdywał różne powody, by ich przetrzymać. Oto już ostatni, ni bieg i trzeba czekać cztery lata, żeby znów odetchnąć oliwnym oparem młodych ciał, żeby przymrużyć oczy przed tą świetlistą aureolą, która jest jedyną szatą ich niewymownej urody. Dla niego, dla wszystkich ta chwila była bezcenna, jak ostatni promień szczęśliwego dnia.

W końcu ustawił ich na starcie. Przyjęli tradycyjną pozycję: nogi zwarte, lewa stopa nieco wysunięta, tułów pochylony ku przodowi, lewa ręka spoczywa na udzie, prawa wyciąga się ruchem, jakby błogosławieństwa, nad ziemią. Gdy już nic nie było do poprawienia, gdy ani w odstępach między zawodnikami, ani w wygięciu ich grzbietów nie można by się dopatrzeć najłżejszego uchybienia, szepnął: -- Api- tel -- Goń!

W pierwszym porywie biegu cała szóstka już się przeistoczyła. Rzekłbyś, że pod zaklęciem ludzkie zmienili się w ptaki. Ruchowi lewej nogi odpowiada ruch prawej ręki i na odwrót, tak że ten rytm błyszczących członków, nieustannie zawieszonych w powietrzu, stwarza! wrażenie skrzydeł. Lecz oto świeży drobny piasek wzbił się chmurą, blask naoliwionych ciał płynął w niej smugą złocistą, tak zwartą, jakby przez trzy czwarte toru nikt bodaj o pół kroku nie przełamał szeregu. Pozostawało jeszcze tyle czasu, ile go trzeba na jeden oddech. Widzowie zatrzymali go w piersiach. W istocie cała szóstka biegła tak równo, jakby tworzyła jedno ciało o dwunastu nogach, bezprzykładnie zgodnych w każdym ruchu. Koroibos czuł na sobie tę równość sił, niby obręcz żelazną. Parł w nią z natężeniem mięśni, które wydawało mu się ostatecznym za każdym razem, kiedy dwoma krótkimi spojrzeniami w prawo i w lewo przekonywał się, że ani na dłoń nie wysunął się naprzód. W pewnej chwili doznał uczucia, że przestał biec, że wszystko w nim zatrzymało się, martwe i nieruchome. Nie było to prawdą, ani na jedno drgnienie pulsu nie zwolnił biegu, lecz strach, jaki go na tę myśl ogarnął, poderwał jego wzrok opuszczony ku ziemi i nagle w błysku przejmującego zdumienia spostrzegł okrutnie już wyraźną kresę męty, purpurową postać króla, szary wzgórek ołtarza. Wszystkie siły sprężył w sobie, stał się łukiem i cięciwą, i strzałą, po raz pierwszy posłyszał za sobą głośny oddech swych nieodstępnych towarzyszy, raz jeszcze wyrzucił w górę ramiona i skoczył poza metę, i nie mogąc ujarzmić nóg, wbiegł aż na pochyłość ołtarzowego pagórka.

Okrzyki leciały ku niemu jak kwiaty. Lecz czemuż to herold nie nakazuje ciszy? Spostrzeżono dziwny ruch dokoła króla. Okazało się, że dla ostatniego zwycięzcy nie ma nagrody. Rozdano już wszystkie trójnogi, puchary, miecze i płaszcze. Nie było jednak do pomyślenia,

by zwycięzca w tym najświetniejszym biegu odszedł bez daru. Raczej innym odjąć, niż odprawić z próżnymi rękoma tego, który wypełnił najpiękniejsze marzenie greckie: wśród. najlepszych był pierwszy, z najdzielniejszych najwytrwalszy, równych przewyższył nadludzkim naciskiem woli.

Wtedy to przemówiła w królu dusza jego boskich przodków. Wstał i zbliżył się do jednej z oliwek, która rosła tuż przy ołtarzu. Stare, karłowate, spróchniałe drzewo, być może zasadzone jeszcze ręką Heraklesa, tliło się u samego wierzchołka szarą zielenią kilku wici. Ułamał z nich trzy gałązki i kazał sobie podać wstążkę wełnianą, jaką się zawiesza na rogach zwierząt ofiarnych. Powiązał nią gałązki tak, że utworzymy wieniec, i "włożył na głowę Koroibosa. Żaden jego ruch nie uszedł niczyich oczu. Dusze przeniknął ów chłód, jakim tchną uroczyska, w których czuje się obecność bóstwa.

Takie było zwycięstwo i taka była nagroda Koroibosa z Elidy, którego imię stoi na czele spisu zwycięzców olimpijskich, w brzasku dziejów greckich, na samym szczycie świetlistej piramidy zdrowia, siły i urody.

"Trzy znaki Zodiaku"

modlitwa arystydbsa

to było imię, które go gniołło jak zmora. Nie wymówił go jednak, czekał, aż zrobi to ktoś inny. Nie czekał zbyt długo, bo oto z drugiej gromady rozmawiających wybiegły słowa:

--Arystydes to człowiek małej odwagi i skąpej myśli.

To było tak powiedziane, że wszyscy nad tym zamilkli. Na równej, nieporuszonej powierzchni milczenia pojawiły się obrazy niedawnych lat wojny. Każdy widział tylko to, co sam przeżył, ale każdy mógł odnaleźć w swych wspomnieniach męską i poważną postać Arystydesa; zawsze był w pierwszych szeregach i zawsze słyszało się jego opanowany głos, jakby rozlegający się z wyżyn, których nie sięga strach i namiętność bitwy. Zaiste, jeśli ten człowiek nie był mężny, tedy wszyscy byli skończonymi tchórzami.

--Nie powiedziałem, że brak mu męstwa, lecz że jest człowiekiem małej odwagi. Oddał swe dowództwo Miltiadesowi i wszystkich strategów do tego nakłonił. Bał się odpowiedzialności bodaj na jeden dzień.

--Nieprawda! Okazał wielkoduszność, uznając, że Miltiades wszystkich przewyższa sądem wodza i doświadczeniem wojennym.

Lecz Kleidemides podtrzymał swego sojusznika. Wparł się w gromadę swą ciężką, barczystą postacią:

--I powiedziałeś jeszcze, Fanoklesie, że jest on człowiekiem skąpej myśli. Złote, złote słowa. Skąpej myśli! Tak celnie jeszcze go nikt nie określił. On chciałby życie zatrzymać! Nie chce wojny z Eginą, trwoży go każdy kamień kładziony na groblach Pireusu, mówi o upadku obyczajów, jeśli który dom wyrośnie bodaj o dwa palce ponad stare, pocziwe chałupy. On nie rozumie wielkości, on staje w poprzek losów Aten!...

-- Kto? Kto? -- pytali dalej stojący, których podniesiony głos Kleidemidesa zwabił na ostatnie słowa.

Rozmowy przerwało zjawienie się archontów. Za nimi wyroiła się z buleuterionu Rada Pięciuset, wszyscy biało ubrani, z wieńcami mirtowymi na głowach. Zasiadli ławy, które dla nich przygotowano, ozwała się trąba, na trybunę wszedł herold i ogłosił początek głosowania. Miało ono trwać cały dzień.

Agora przedstawiała dziwny widok. Z jednej strony ciągnęły się przegrody dla dziesięciu fyl, każda z trzech boków osłonięta deskami, z jednego boku otwarta. W każdym ogrodzeniu stał urzędnik. Po drugiej zaś stronie trzymał się tłum, w przyzwoitej odległości. Mowy umilkły i dość długo trwała cisza niespokojna, mętna, krępująca. Widoczne było, że nikt nie czuje się na siłach zakłócić swym cieniem czystej i jasnej przestrzeni, dzielącej go od miejsca głosowania.

Każdy miał różne wątpliwości i oglądał się po sąsiadach, którzy tak samo bezradnie obracali w palcach swoje skorupki. Były to czerepki z potłuczonych naczyń glinianych, zwyczajny materiał, jakim się posługiwano w tego rodzaju głosowaniu. Czymś ostrym -- nożem, rylcem,

dłutkiem -- wypisywało się na nich imię osoby, którą osądzono jako groźną dla państwa i wolności. W istocie jedno było tylko imię, które naprawdę obciążało pamięć wszystkich. Ale myśl o nim nie była łatwa do zniesienia. Spory, wybuchające co chwila, milczenia, które po nich następowały, westchnienia, jakie się podnosiły, gdy słów nie stało, świadczyły, że sumieniom ludzkim waży ono zbyt silnie.

-- Tak -- mówił jeden z wielu -- ale po bitwie maratońskiej zostawiono go do pilnowania łupów. Ileż tam było złota, srebra, kosztownej zbroi, drogocennych materii... olbrzymie skarby, a czy znajdzie się ktoś, kto powie, że bodaj jedna sprzączka od nagolenicy przeszła do skrzyni Arystydesa?

-- Tego nikt nie powie -- odezwał się Pantainetos, lichwiarz -- ale tak samo nikt nie wie, co się może ukrywać pod starannie utrzymanym ubóstwem.

-- A cóż się może ukrywać?

-- Mówię przecież, że tego nikt nie wie. Sądzę jednak, że może tam być wiele różnych rzeczy.

-- Przede wszystkim sława! -- zawołał ktoś z tyłu.

-- A czymże groźna jest sława, która nie płynie z gwałtu i przemocy?

-- Bo jest niezwykła i jedyna. Czy to nie potęga, jeśli ktoś samą sprawiedliwością jest tak uzbrojony, że więcej znaczy, niż jeśliby miał wokoło siebie łuczników i procarzy?

-- To prawda! Arystydes zdobył sobie imię więcej niż królewskie. Sprawiedliwy! To bogom tylko przysługuje takie imię.

-- Ludzie, opamiętajcie się! Chcecie z miasta wypędzić sprawiedliwego? A jaką karę przeznaczacie dla zbrodniarzy?

-- To nie kara, lecz ostrożność.

-- Hańbą jest taka ostrożność, która najlepszego obywatela pozbawia domu, ołtarzy rodzinnych, powietrza, w którym wzrasta!

-- Najlepszy z obywateli! Sprawiedliwy! Sami wydajecie na niego wyrok. Cóż odtąd znaczą sądy, jeśli się w każdej sprawie oglądamy na to, co on powie? Cóż znaczą archontowie, Rada, Zgromadzenie, całe miasto, cały lud, jeśli on sam tak nad wszystkim góruje?

W każdej gromadzie podnosiły się takie słowa. Przychodzili z nimi ludzie, mający porachunki z Arystydesem: dawni żołnierze, których ukarał i wystawił na wstyd za tchórzostwo, oszuści, których podał w sądach na hańbę krzywoprzysięstwa, donosiciele bez czci i sumienia, najwięcej zaś było takich, których przyłapał na kradzieży grosza publicznego. Sumienia zaczęły słabnąć. Wciąż ktoś odłączał się i rzucał swoją skorupkę w oddziale swojej fyli i słyszało się twardy odgłos glinianego okrucu na kamiennych płytach rynku. W końcu był to już nieustanny grzechot. Trwało tak do południa. Głód rozproszył ciżbę, ale nie na długo, wie-

Iu wkrótce wróciło, by nic nie stracić z osobliwości tego dnia. Nowych głosujących było już mało. Przeważnie zjawiali się wieśniacy z dalekich stron, którzy, oszołomieni miastem, błakali się dotychczas po ulicach, potrącani żartami, i nieświadomi rzeczy, rzucali skorupki z imionami swych osobistych wrogów, uciążliwych sąsiadów, skąpych krewnych, przeświadczeni, że wywierają na nich chytrą a złowrogą zemstę.

Gdy miało się pod zmierzch, zamknięto wejścia do oddziałów, urzędnicy zaczęli liczyć głosy. Cała Rada Pięciuset przypatrywała się tej czynności. Liczono najpierw same skorupki, bo gdyby się okazało, że jest ich mniej niż sześć tysięcy, głosowanie byłoby nieważne. Było ich prawie dwa razy tyle. Wtedy zaczęto je odczytywać. Zapalono pochodnie, latarnie ręczne, które trzymali niewolnicy. Wciąż powtarzało się nazwisko Arystydesa. Wśród narastającej ciemności, u brzegów tłumu, który w mroku szumiał jak morze, bezkształtny i falujący, te cztery zgłoski, nieustannie wymawiane dziesięciu różnymi głosami, brzmiały na kształt wołania.

◆ * *

Nazajutrz Arystydes opuścił Ateny. Mógł się wprawdzie tak nie śpieszyć, prawo zostawiało mu dziesięć dni, ale powiedział, że to się tyczy tylko takich, co mają rozległe gospodarstwo, warsztaty; biednemu, jak on, wystarczy czas do świtu. Wiadomość o głosowaniu przyniósł mu późną nocą Kallimachos, jego najlepszy przyjaciel. Mówili ze sobą cicho, żeby nie zbudzić córek, które spały w sąsiednim pokoju. Wszedł tam na chwilę, może je ucałował, może im się tylko przyjrzał, bo niósł lampę oliwną, którą osłaniał dłonią.

-- Gdy wrócę, już obie będą dorosłe, może wyjdą za mąż, jeśli nie zedhcą czekać na mnie.

Zona opuściła zasłonę na twarz, płacz ją dusił, ale Arystydes położył jej palec na ustach, kciuk prawej ręki przytknął do jej warg. Oparła mu obie dłonie na ramionach. Ujął je w kostkach i mocno uścisnął. Po czym wyszedł dokądś, a wróciwszy, coś tam grzebał w tłu- moczku, który miał zabrać ze sobą.

-- Jeśli mi czegoś zbraknie, przyślesz mi łatwo -- rzekł do żony. -- Daleko przecież nie wolno mi jechać.

-- Dokąd zamierzasz się udać? -- zapytał Kallimachos.

-- Na Eginę.

I znów do żony:

-- Będziesz mogła z Akropolu widzieć wyspę.

Kallimachos spostrzegł, że jego przyjaciel ma ręce uwalane błotem. Domyślił się, że wziął garść ziemi rodzinnej na wygnanie. Podniosła się w nim nagła gorycz.

-- Źle robisz, Arystydesie. Gdybyś tylko chciał, wszystko byłoby inaczej. Niewiele potrzeba by zachodu, aby z twoją sławą nie dać się wyrzucić z miasta po dwudziestu latach zasług i nieskazitelności.

Arystydes pochylił twarz, na której wśród silnego zarostu płonął jasny rumieniec. Był to jedyny raz, gdy nie umiał szeptem opanować głosu:

-- A więc, zamiast mnie, wolałbyś wyrzucić prawo? Zamiast mojej krzywdy, wolisz krzywdę ojczyzny? Bo czymże innym, jeśli nie krzywdą, byłoby dla niej złamanie praw? Czyż ty, Kallimachosie, nie wiesz, co znaczy ojczyzna? Gdy cię łąjał lub ukarał ojciec niesłusznie, czyś ty wtedy myślał, że możesz skorzystać z jego starości, przytrzymać rękę, która cię bije, obezwładnić go? Nie, nie myślałeś o tym i żadne prawe serce nigdy takiej myśli nie dopuści. Czyż mam ci dziś dopiero tłumaczyć i kłócić się z tobą o to, że ojczyzna jest cenniejsza od matki i od ojca, i od wszystkich przodków i większej czci godna, i święta i że jej ustępować trzeba i bić przed nią czołem, i przyjąć od niej i więzienie, i wygnanie, i śmierć, jeśli by tak postanowiła? Przecież ja kiedyś umrę i ty, Kallimachosie, a obaj wierzymy, że się tam znów spotkamy, w świecie cieniów. I spotkamy Kleistenesa, wielkodusznego Kleistenesa, któremu ja oczy zamknąłem, gdy umarł, i nie tylko stałem przy nim, gdy już leżał na marach, ale i wtedy, gdy stał na mównicy i to prawo ogłaszał, prawo o sędzie skorupkowym, które mnie dziś wypędza. I cóż bym powiedział Kleistenesowi, gdyby mię zapytał: "Wtedy byłeś przy mnie i za tym prawem głosowałeś, i razem je ze mną utrwaląłeś w pierwszym brzasku swojej szlachetnej, młodości, a kiedy ciebie samego ono dotknęło, od razu stało się niegodne i warte podeptania?" Doprawdy, Kallimachosie...

To były ostatnie słowa ich rozmowy. Arystydes wziął z rąk żony dzban wina, częstował gościa i sam pił. Zjedli trochę sera, oliwek, to było ich śniadanie, bo już noc wypłowiwała. Wyszli i z rynku skręcili na drogę do Pireusu.

Za Dipilońską bramą Arystydes odwrócił się ku miastu. Wśród szarego nieba wznosił się Akropol, a na jego płowym garbie świątynia Ateny kwitła dziwnymi barwami swych fryzów. Arystydes oddał laskę i tłumoczek Kallimachosowi i stanął z dłońmi wzniesionymi do modlitwy:

-- Ateno! polecam twej łasce mój dom, moje córki, moją żonę. Prowadź mnie na drodze wygnania i daj dzień szczęśliwego powrotu, w którym złożę ci jałówkę w ofierze. Miej w swej opiece miasto. Nie dopuść, by dla Ateńczyków nadeszła taka chwila, żeby zgnębieni niedolą, musieli wspominać Arystydesa, syna Lizymacha.
"Trzy znaki Zodiaku"

DZIEŃ KRÓLEWSKI

Ptolemeusz, trzeci tego imienia król Egiptu, wyszedł z rannej kąpieli, owinięty w długą chłajnę. O parę kroków za nim szedł szatny królewski. Głosem cichym i poufnym doradzał, żeby monarcha włożył strój faraonów, bo ma się zjawić delegacja wysokich kapłanów egipskich. -- Czego chcą? Pewno znów zdechło jakieś święte bydlę? Szatny zaśmiał się stłumionym chichotem, mimo że jeszcze jego ojciec był Egipcjaninem i on sam w dzieciństwie modlił się do owych dziwnych stworzeń -- krokodyli, kotów, krogulców -- w których religia przodków widziała istoty boskie. Teraz uważał się za Greka, szydził z bóstw ojczystych i naprawdę wystarczał mu tylko jeden bóg: Ptolemaios Euergetes, którego czcił żarliwie.

-- Słyszałem -- rzekł -- że kapłanom idzie o daniny świątynne.

-- Co to za kapłani?

-- Z Tebaidy.

Król zmarszczył się. Znał aż nadto dobrze niewygasłą nienawiść Teb do Aleksandrii. Prastare miasto, osiadłe pośród najwspanialszych świątyń, było stolicą najkrnąbrniejszej dzielnicy Egiptu. Lud w tamtych stronach nie mieszał się z obcymi, nie mówił ich językiem, panowanie makedońsko-greckie uważał za przemijające. Mając poczucie niewyczerpanej długowieczności swych dziejów, patrzył na obecny czas jak na nikłą chwilę, którą lada powiew historii zmiecie w niepamięć. Kapłani, którzy w Tebach byli potęgą, podsycali te uczucia. Z ich knozań wyrastali samozwańczy faraonowie i porywali lud do nagłych powstań. Jedna taka rewolta zawróciła Ptolemeusza kilka lat temu z drogi zwycięstw, gdy wojował w Azji Mniejszej.

-- O, jeśli to oni przychodzą -- rzekł -- i jeśli chcą mówić o pieniądzach, daj mi strój makedoński. Niech nie myślą, że stoi przed nimi jeden z dawnych faraonów, zabawka w ich ręku, lecz władca, któremu kraj podlega prawem zdobyczy wojennej.

Pod okiem szatnego służba ubierała króla. Włożył krótki do kolan chiton, na to chlamidę, spiętą na lewym ramieniu klamrą, gdzie w złotej oprawie widniał ametyst z wyrżniętym wizerunkiem Aleksandra

Wielkiego. Dwaj paziowie sznurowali wysokie buciki żołnierskie. Za chwilę był gotów i witał się z dostojnikami, którzy wchodzili ze wszystkich drzwi.

Z ich zachowania się można było poznać stopień godności: jedni przystępowali wprost do króla, aby mu podać rękę, inni czekali na środku pokoju, póki się do nich nie zbliży, jeszcze inni stali biernie pod ścianą. Najwyżsi nosili zaszczytne miano "kuzynów", mimo że nie łączyło ich z królem żadne pokrewieństwo, a resztę określano jako "przyjaciół" królewskich, wyróżniając tych, którzy mieli prawo do nazwy "pierwszych przyjaciół".

Służba wniosła na małym, okrągłym stoliku śniadanie dla króla i gdy on jadł, jeden z kanclerzy, zwany hypomnematografos, odczytywał kronikę wczorajszego dnia, wszystkie rozkazy i postanowienia, które król powziął. Ptolemeusz zatrzymywał go co chwila i kazał odczytywać teksty nowych ustaw. Był wrażliwy na styl i język, robił poprawki, usuwał niejasności wystowienia.

Wreszcie wstał i przeszedł o piętro niżej, gdzie mieściła się jego kancelaria. Na kilkunastu stołach piętrzyły się stosy kart i zwojów papirusu. Zawierały najważniejsze sprawy dnia, których nie ośmielano się załatwić bez króla.

Pierwszy miał głos naczelny dowódca. Pokazywał na planie posterunki wojskowe, objaśniał ich stan liczebny, zmiany, których wymagały okoliczności. Król wypytywał o flotę, arsenały, sprawdził ruch w warsztatach płatnerskich, po czym sięgnął do pliku kart podających nowe werbunki. Urzędnicy notowali każde jego słowo.

Skończywszy z wojskiem, zasiadł przy stole dioiketesa, ministra skarbu, jak gospodarz przeglądający dzienne rachunki. W istocie, cały ten olbrzymi kraj był jego własnością. Użyźniał go Nil, a uprawiali chłopi, wiecześnie przykuci do roli, jak za najdawniejszych faraonów. Wszelkiego rodzaju opłaty dzierżawne, daniny i podatki, pobierane w czystym jak złoto ziarnie pszenicznym, szły z młó- carni wiejskich do spichlerzów gminnych, a stamtąd tysiącami statków w górę Nilu, do Aleksandrii, gdzie znów pod okiem urzędników królewskich przesypany je do olbrzymich magazynów, aby w niezliczonych worach rozesłać po świecie. Pszenica egipska karmiła wszystkie kraje Śródziemnego Morza, przynosząc złoto do skarbcza najbogatszego z monarchów.

Dźwięk złota podnosił się z rachunków dioiketesa. W nich skupiały się ostateczne cyfry wielkoświatowego handlu, ceł i monopoli, cyfry, wypracowane przez eklogistesę, naczelnego kontrolera skarbu, cyfry odpowiadające wpływom do kasy państwowej. Niby rzeki do morza zbiegały się do niej wszystkie dochody, idące przez banki, przez urzędy podatkowe miast, przez kasy wiejskie. Zbierały się na ten strumień bogactwa najmniejsze włókienka, pilnowane przez urzędników. Ani jed-

na lampka oliwna nie zapalała się w najluchszej chacie, ani skrawek lnianego płótna nie szedł do użytku, zanim skarb państwa nie pobrał od nich należnej opłaty.

Niekiedy ten zgodny chór liczb przerywała skarga ludności zbyt obciążonej. Jej głos docierał "przez pocztą. Rozstawnymi końmi kurierzy królewscy biegli od rana do nocy, z północy na południe i z południa na północ, zmieniając się co sześć godzin w urzędach pocztowych, rozsypanych wzdłuż wielkiego gościńca nad Nilem. Przywozili życzenia, nadzieje, obietnice, żale całego kraju i zabierali z powrotem odpowiedzi i wyroki królewskie. Cały swój bagaż składali w osobnych biurach, w których tysiące listów dzielono, aby je rozesłać po różnym strefach administracji państwowej. Tylko nieliczne dochodziły wprost do króla.

Ptolemeusz lubił te drobne sprawy; na każdy dzień przygotowywano mu parę listów od chłopów o umorzenie podatku, jakiś zawity proces z zapadłej wsi, jakieś zażalenie na uszkodzoną groblę lub zasypany kanał. Biegło się wtedy do państwowego katastru, przynosiło różne dokumenty, wzywało odpowiedzialnych urzędników i król miał chwilę dziecinnej radości, że może zajrzeć w byt najodleglejszej prowincji, poznać wymiar znikomego okrucha ziemi, którą gdzieś u brzegu pustyni obsiewa jego chłop i niewolnik. Pochłonięty tą pracą, zapominał o wszystkim. Mistrz ceremonii już kilka razy zapowiadał przybycie kapłanów z Tebaidy.

-- Powiedz im, żeby przyszli pod wieczór -- rzekł król.

Olbrzymia sala kancelarii królewskiej była głównym mechanizmem, od którego państwo brało codzienny rytm życia. Idąc od stołu do stołu, od dioiketesa do archidikastesy, któremu podlegało sądownictwo, Ptolemeusz naciskał po kolei wszystkie koła i tryby wspaniałej maszyny. Rozkaz królewski wplatał się natychmiast w jej wartki bieg i sływał do coraz niższych jej części. Prawo i władza, których był źródłem, realizowały się poprzez strategów, rządzących dzielnicami krajów, zwanymi nomoi, poprzez toparchów, stojących na czele powiatów, aż do wójtów wsi.

Ptolemeusz nie czuł znużenia. Tysiące kart papirusu przesunęło się przez jego stół, na każdej położył swój podpis i wciąż z tą samą świeżością umysłu wsłuchiwał się w głos swego państwa. Czuł je wyraźnie pod swymi dłońmi, jak żywą, najdroższą istotę. Każdą częścią swego imperium radował się z dumą i wzruszeniem. Oto Egipt, czarny pas ziemi, przerźnięty błękitną wstęgą najpiękniejszej rzeki; oto wyspy helleńskiego morza, rozsypane jak topazy aż pod próg Tracji; oto Syria i Palestyna, oto Kyrenaika, wielkie oazy i twierdze nad Morzem Czerwonym, biegnące w dół ku zwrotnikom...

Prawie do wieczora trwała ta praca. Nie opuszczał jej nawet przy stole jadalnym, do którego zaprosił kilka spośród osób przyjętych na

audyencji. Dopiero kiedy dzień już przygasał, wyszedł na najwyższą terasę zaniku, aby się orzeźwić oddechem morza. Podpływało ono pod sam zamek, zbudowany na wysuniętym języku lądu. Po drugiej stronie leżała Aleksandria, największe wówczas miasto w świecie śródziemnomorskim.

Jakże była piękna w tej godzinie przedwieczornej! Rozległa i jasna jak umysł wielkiego Aleksandra, który ją założył, rozpościerała się w kształcie make dońskiej chlamidy. Długie, szerokie ulice, krzyżujące się pod prostym kątem, zamykały równe bloki domów, które gdzieniegdzie rozstępowały się przed majestatyczną budowlą świątyni albo przed marmurowym zarysem teatru, cyrku czy hipodromu.

Chodniki, wyłożone pięknymi, równymi płytami, roiły się od ludzi. O tej porze wszyscy już byli wolni i wszystkich wypędzała z domów ciekawość świata, który w tym mieście wydawał się szczególnie uroczy. Przeważali Grecy i ich język rozbrzmiewał najgłośniej. Odzywali się w nim wszyscy sprzedawcy uliczni, wszystkie kwiaciarki, mimo że z ich rysów przeglądała nieraz inna rasa. Widziało się Egipcjan, Arabów, Żydów, Fenicjan, Murzynów: czasem z tłumu wyjrzały jasne oczy Galla. Na ulicy Królewskiej, przecinającej miasto wzdłuż jak stos pacierzowy, spotykały się wszystkie narody, stroje mieniły się wszystkimi barwami, od greckiej bieli do niesamowitych szkarłatów kobiet etiopskich.

Miasto, uwolnione od pracy, oczekiwała zabawa wieczorna. Hałasowały winiarnie, z teatrzyków szedł przenikliwy głos fletni albo dźwięczna wrzawa cymbałów; niekiedy wybiegała z nich piosenka i podjęta na ulicy, przelatowała ponad tłumem swoim swawolnym rytmem.

Król nie patrzył na miasto. Snuł się zadumany spojrzaniem po murach zamku, którego cała architektura była widoczna z terasy. Składały się na nią liczne budowle, każdy z Ptolemeuszów zostawił po sobie własny pałac, a były tu i świątynie, i biblioteka, i sławne Museion, gdzie pracowali uczeni, filozofowie i poeci. Ta kamienna, wyniosła dzielnica, wysunięta ku morzu, w samym środku kryła skarb magiczny -- grobowiec Aleksandra Wielkiego. Szczątki boskiego zdobywcy, przewiezione z Babilonu, były najcenniejszym łupem, który Ptolemeusz I wydarł swym rywalom, tym kilku generałom, którzy po śmierci wodza dzielili się jego monarchią. Był to niejako kamień węgielny potęgi Ptolemeuszów. Razem z ciałem ducha Aleksandra Wielkiego przebywał w tym mieście, które on założył i które, jak wierzono, miało być jego stolicą, gdyby żył dłużej.

Euergetes, z oczyma utkwionymi w grobowiec, oddał się swym codziennym, upajającym myślom. Pragnął być drugim Aleksandrem. Zdobywał świat, rozrzucał kamienie graniczne obcych mocarstw, szedł do Indii. Wreszcie mapa znanej wówczas ziemi nie wystarczała jego marzeniom. Na jej kresach ciągnęły się mgliste pustkowia, nie wie

dział, co w sobie kryją -- czy ląd, czy wodę, czy tylko próżnię powietrzną, zamieszkałą przez niewidzialne duchy. Stał przed czymś niezbadanym i pociągającym jak przepaść.

Oto była jego myśl: zwycięskim mieczem przedrzeć się przez tę mgłę, która osłania najdalszą północ, ostateczny wschód, samo jądro zachodu, przyrównać płomień, który mu serce rozżarza, do ukropu mórz oblewających nieznane granice południa. A jeśli ziemia jest kulista, jak twierdzi bibliotekarz królewski Eratostenes, obrócić ją w rękę jak piłkę i na drugiej półkuli posłyszeć swe imię, niesione okrzykiem zwycięstwa pod gwiazdy, których nikt jeszcze nie widział...

W tej chwili na wysepce Faros rozbłysło światło latarni morskiej. Była to olbrzymia wieża z trzech kondygnacji: pierwsza, dolna -- w kształcie czworoboku, środkowa -- ośmioboczna, górna -- okrągła. Wznosiła się na wysokość 120 m. U szczytu paliło się piekielne ognisko, do którego osobnymi dźwigarami, umieszczonymi wewnątrz wieży, doprowadzano nieustannie ładunki drzewa. Szereg wklęsłych zwierciadeł odbijał płomień ogniska i na kształt reflektorów niósł światło w głąb pustki morskiej. Z odległości 55 kilometrów widziało się ten migotliwy błysk, czujną źrenicę Egiptu, towarzyszącą swym statkom. Dla Aleksandrii był to sygnał nocy -- ludzie wracali do domów.

Król zeszedł do sypialni. Lecz upajająca myśl o sławie nie opuściła go pod baldachimem łóżka. Leżał z otwartymi oczami i patrzył w okno, wprawione w głuchą czerń nocy egipskiej. W niewielkim oddaleniu zabłysło światelko, które wkrótce zgasło. To po drugiej stronie dziedzińca pałacowego, w gmachu biblioteki. Król westchnął.

"Szczęśliwy Eratostenes -- pomyślał -- idzie do swojej pracy. Natchnienie spłoszyło mu sen i przeżyje kawał nocy pośród czarnych znaczków na papirusie."

Ale to atramentowe szczęście poety i uczonego wydało się królowi tak biedne, że się wzruszył. "Jaki nierówny jest los ludzki -- myślał. -- Urodziliśmy się pod tymi samymi gwiazdami, ja na króla, on na pisarza. Ja wykuwam wiecznotrwałą historię, a on zamyka swą sławę w cienkich i kruchych kartach, które zawsze w końcu okryje pleśń i zapomnienie."

I król powoli zasnął, ukołyszany swą wielkością.

Eratostenes, oświecając sobie drogę lampką oliwną, szedł przez długie galerie biblioteki aleksandryjskiej. 'Pod ścianami snuły się nieprzerwane rzędy szaf, ozdobionych biustami poetów, filozofów, uczonych. Leżały tam na półkach setki tysięcy zwojów papirusu, mieszczące w sobie wszystko, co napisano w języku greckim od Homera aż do ostatnich dni. Ptolemeusze byli dumni ze swej biblioteki i zazdrośnie czuwali nad jej rozwojem. Ojciec Euergetesa nazywał ją arsenałem ducha. I rzeczywiście, silniej i trwalej niżli gwardia makedońska, niż wszystkie pułki rozstawione po całym Egipcie, panował nad krajem duch grecki,

objawiający się wysoką oświatą i wszystkimi ponętami żywej, twórczej kultury.

Eratostenes, przeszedłszy wszystkie sale biblioteki, zamknął się w swej pracowni, w której zazwyczaj spędzał połowę nocy. Rozwinął papirus, pióro z trzciny łodygi umoczył w atramencie i zabrał się do pisania. Co jakiś czas zatrzymywał się, przerzucał luźne kartki leżące na stole, robił na nich obliczenia lub sprawdzał jakieś dawniejsze rachunki.

Pracował nad drugą częścią swego dzieła o Geografii. Uzasadniał sąd, że ziemia jest kulista. Widział wyraźnie w swych myślach glob, którego rozmiary zdołał obliczyć, ale którego tajemnic nie znał. W podnieconej wyobraźni snuły się zarysy łądów, szumiały morza, dalekie od wszelkich domysłów.

Lampka migotała niespokojnie, ożywiało ją jeszcze tylko parę kropel oliwy. Ostatnie zdanie pisał Eratostenes prawie po omacku.

Brzmiało ono: "Z tego, co wyżej powiedziałem, wynika, że płynąc od słupów Heraklesa na zachód, można dotrzeć do Indii."

To zdanie, pisane przy dogasającej lampce, było przeznaczone na długie wieki zupełnej ciemności. Rękopisy, które je zawierały, jak słusznie król przewidywał, zmarniały i przepadły, lecz ono samo cudem ocalało, powtarzane przez ludzi coraz innych czasów, niby echo niezrozumiałe. Jak wiatry niosą ponad morzami nasiona roślin i rzucają je w grunt dalekiej, samotnej koralowej wyspy, tak myśl wielkiego Eratostenesa, przeniesiona przez pustkowia średnich wieków, dotarła do Krzysztofa Kolumba.

"Jaki nierówny jest los ludzki!" myślał Ptolemeusz. W istocie, mierząc dzisiaj na wadze dziejów ów dzień, kiedy król Egiptu rządził olbrzymim państwem, a w marzeniach zdobywał świat, widzimy, że to, co w tym dniu było największe, powstało w skromnej pracowni uczonego, u schyłku nocy.

"Trzy znaki Zodiaku

CZEREŚNIA

Minęły czasy, kiedy pojawienie się na ulicy Lucjusza Licyniusza Lukullusa zrywało tłumy do okrzyków uwielbienia lub nienawiści. Wtedy jeszcze długo po zniknięciu jego lektyki wrzał spór między tymi, którzy go kochali, a tymi, którzy mu złorzeczyli. Odkąd jednak, *odbywszy triumf po wojnach z Mitrydatesem i Tygranesem, ustąpił z życia publicznego, nie miał wrogów, a raczej dawni wrogowie przejęli się ogólną życzliwością dla miłego starszego pana, który po latach wielkich trudów, po uciążliwych pochodach przez dzikie kraje, wypoczywał wśród nieprzebranych dostatków, w swych pałacach, willach i ogrodach. Mówiło się o nim wiele, ale były to rzeczy nie wzburzające krwi w żyłach: o nowej potrawie, którą wymyślił, o nowych posągach, które zakupił. Przyzwyczajono się do jego bogactw tym rychlej, że rozumiano, jak bardzo swymi zwycięstwami rozszerzył potęgę rzymską, ile złota wpłynęło do Rzymu bruzdą wyoraną jego mieczem, widziano nawet w jego kaprysach ozdobę i chwałę tych nowych, świet- niejszych czasów, które przyniosły jego zdobywcze sztandary.

Gdy więc dnia tego wyszedł z lektyki, by obejrzeć książki u wędrownego bibliopoli pod łukiem Fabiusza, gawiedź z Forum otoczyła go dalekim kręgiem, cała w przyjaznych szmerach. On zaś rozwijał i zwijał wolumina, odkładał te, które kupić zamierzał, pytał o cenę i może było trochę śmiechu, gdy posłyszano, że się targuje. Zdawało się przy tym, że tłum jest oczarowany każdym jego ruchem, jakby nikt tak nie umiał obracać w rękę książek lub odrzucać togi, gdy jedną połą opadała mu na zgięte ramię.

Dopiero przybycie dwóch innych mężów przysunęło ludzi nieco bliżej. Pompejusz i Cicero, wracając z kurii, zatrzymali się w tym samym miejscu. Lukullus, ujrawszy najpierw Cicerona, uśmiechnął się. Na widok Pomppjusza cień przesunął się po jego czole, ale tylko na jedno mgnienie oka. Podali sobie ręce.

Cicero uśmiechnął się i znienacka:

-- Chcielibyśmy -- rzekł -- zjeść z tobą obiad, Lucjuszu.

Zdziwił się Pompejusz, Lukullusowi brwi nieco drgnęły ku górze, ale odparł natychmiast:

-- Całym sercem proszę, wybierzcie dzień!

Ależ dziś właśnie. Wracamy z Senatu bardzo głodni.

Lukullus zapraszał na jutro. Zaskoczony, nie będzie mógł ich godnie przyjąć.

-- O to mi najbardziej idzie -- mówił Cicero -- żeby nic więcej nie było nad zwyczajny stół. Tak, jak sam zwykle jadasz.

Nie dał mu nawet rozmawiać ze służbą.

-- Choć dwa słowa pozwól powiedzieć -- prosił Lukullus.

-- Tak, dwa słowa można, nie więcej.

Lukullus zawołał niewolnika, który stał przy jego lektyce, i rzekł:

-- W Apollinie.

Ów zaś skłonił się i wraz z innymi, którzy nieśli lektykę, odszedł.

Trzej consulares szli pieszo, mimo że z Forum na Mons Pincius, gdzie stał dom Lukullusa, było dość daleko. Droga wydała się szczególnie daleka Pompejuszowi, bo nie znajdując słów odpowiednich dla Lukullusa, którego skrzywdził i uważał za wroga, milczał, zły, że idzie. Niecierpliwiło go dobroduszne gadulstwo Cicerona. Prawie z radością powitał dom Lukullusa i zdziwił się, że drzwi były ubrane świeżymi kwiatami, jakby oczekiwano gości.

-- Czy będzie ktoś więcej? -- zapytał.

-- Nie, to was witają te kwiaty.

Cicero przeszedł się poufale, jak człowiek, który tu był nie po raz pierwszy, ale Pompejusz, przywykły do oszczędności bliskiej skąpstwa, był zaskoczony przepychem, co zdawał się wzrastać i rozszerzać za każdym krokiem. Marmur należał jeszcze w Rzymie do rzadkości, a tu go było pełno. Lukullus pokazywał szczególnie salę do ćwiczeń cielesnych, wyłożoną płytami marmuru czarnego w drobne czerwone żyłki, który on pierwszy sprowadził z wyspy Melos.

Szli przez długi szereg pokojów o pułapach rżniętych w kasetony, grubo pokryte złotem, bądź wykładane kością słoniową wśród brązów i marmurów. Cicero udawał znawcę. Nie było końca zachwytom przed każdą rzeźbą, mimo że płątał Fidiasza z Praksytelesem. Lukullus posiadał rzeczywiście zbiory bardzo bogate, w dosłownym znaczeniu, bo płacił ogromne sumy za dzieła starych mistrzów greckich, i chociaż zdarzało mu się nieraz ikupić kopię zamiast oryginału, miał wiele trafego smaku i dość wiedzy, by przyjmować ze spokojnym uśmiechem pomyłki znakomitego mówcy. Pompejusz pytał o cenę każdej rzeczy i najdłużej zatrzymał się przed kolekcją drogich karniej, wśród których był i szmaragd z wyrżniętym wizerunkiem Ptolemeusza, ofiarowany przez tego króla Lukullusowi w czasach jego pobytu w Egipcie.

Weszli do biblioteki. Cicero promieniał na widok szaf pełnych woluminów, a jeszcze bardziej na widok własnego biustu w rzędzie sław

nych ludzi. Przy stolach siedziało kilku filozofów greckich, którzy tu przychodzili czytać, rozprawiać i ostatecznie żyli na koszt Lukullusa pompejusz obrzucił ich wzgardliwym spojrzeniem.

-- Nie lubią filozofów -- rzekł. -- Słyszałem jednego, który dowodził, że ludzie, jak rzeżucha, z ziemi wyrosli.

-- To prawda -- zgodził się Lukullus (gość w jego domu zawsze miał słuszość) -- filozofowie błędzą w rzeczach najprostszych.

-- I łatwe to zajęcie: filozofia. Z dziesiątą częścią trudu, jakiego potrzeba, by niewolnika wyuczyć cukiernictwa, można się na filozofa wykształcić.

I dodaj -- uśmiechnął się Lukullus -- że na licytacji kucharza sprzedaje się najdrożej.

-- Wasza rozmowa -- wtrącił się Cicero -- wprost do jadalni prowadzi.

--Stoimy już na jej progu -- rzekł Lukullus, cofając się nieco, by przepuścić gości do sąsiedniego pokoju.

Była to sala Apollina. Nazwę dawał jej posąg tego boga, przedstawionego w chwili, gdy stojąc pod drzewem, grozi strzałą jaszczurce, która biegnie po pnium. Wchodzących powitał szeroki oddech sadu, na który sala otwierała się całą ścianą. Cicero, miłośnik drzew, rozważał piękny kształt sadu, a zwłaszcza osobliwość rosnących tam gatunków. Kasztany i migdały, które później stały się w Italii pospolite, były jeszcze wtedy rzadkością; do ich utrzymania Lukullus miał osobnych niewolników, jak zresztą do każdego innego rodzaju drzew, zwłaszcza śliw damasceńskich i fig z Chios, z Lidii, z Afryki. Sprowadzał ich z tych samych miejscowości razem z drzewami, a niekiedy i ziemię brał stamtąd. Wokół sadu ciągnęły się zarośla bluszczu, wawrzynów, bukszpanów, te ostatnie cięte w kształty fantastyczne, a w nich były ukryte klatki z rzadkimi ptakami, jednymi do stołu, drugimi do śpiewu.

W sali Apollina przygotowano trzy łoża, wykładane na przemian płytkami ze skorupy żółwia i kością słoniową, zaścielone najkosztowniejszymi kobiercami babilońskimi. Ale Cicero przejął się podziwem dla stołu, który był pośrodku.

t-- Widzisz, Pompejuszu, to jest ów sławny cytrus. Rośnie na wysokich górach w Afryce. Attyk ma jeden taki stół, lecz o wiele mniejszy. Bo cytrus jest smukły i bardzo rzadko ma pień dość gruby, żeby zeń można wykroić płytę stołu. A ten doprawdy jest wspaniały. Ma chyba ze trzy stopy średnicy.

-- Cztery -- rzekł Lukullus.

--Cztery! I jakie cudne słoje!

Gdy się ułożyli przy stole, kilku niewolników wniosło przekąski na misach ze starego srebra. Były ostrygi z północnych mórz, drozdy ze szparagami, pulardy, potrawka z małży morskich, perliczki w cieście zapiekane, kasztany białe i czarne. Goście jedli oszczędnie, ciekawi

dalszych dań po takim początku. Gdy uprzątnięto stół, dano do obmycia rąk wodę zaprawianą olejkami, którą przyćmił zapach kwiatów, jakimi pokój był ubrany. Za czym zjawiał się cały dzik. Dzielił się na kilkanaście części, każda inaczej przyrządzona. A wokół, na półmisku, leżały rzepka, sałata, rzodkiew, w osobnym naczyniu był ostry sos z ryb morskich, rzeczy, zdolne podniecić najleniwszy żołądek. Pompejusz rzekł:

-- Gdybym nie był świadkiem waszej rozmowy na Forum, przysięgłbym, żeście już przedtem ułożyli tę ucztę.

-- Istotnie -- odezwał się Cicero -- jakim zaklęciem zdołałeś to wszystko uczynić, Lucjuszu?

-- Słyszeliście przecież.

-- Słyszałem tylko dwa słowa: "W Apollinie".

-- To właśnie to zaklęcie, o którym mówisz. Mam kilka trikliniów, które się rozmaicie nazywają, i raz na zawsze moja służba wie, jakiego rodzaju obiad ma być w każdym z nich podany. Tu, na przykład, nie może być lichszy niż za sto tysięcy sestercji.

-- Dobrze -- rzekł Pompejusz -- ale mimo to nie rozumiem, jak można było wszystko to zrobić w tak krótkim czasie.

-- O, to mnie już nie dziwi. Zawołał Cicero. -- Pamiętasz, Lucjuszu, gdy Scaurus prosił cię, byś mu pożyczył sto płaszczów dla aktorów na widowisko, które wydawał? Odpisałeś, że nie wyobrażasz sobie, żebyś miał w domu sto płaszczów, ale każesz poszukać. Nazajutrz przysłałeś mu pięćset. On ma tyle rozmaitej służby -- zwrócił się do Pompejusza -- że sam nie wie, jak, gdzie i kiedy wszystko się u niego robi.

Na trzecie danie była murena, nad podziw wielka, i zdawała się pływać w ogromnej misie wśród małych raków morskich. Była do niej polewka tak dobra, że zawołano kucharza, by powiedział, jak się ją robi. Okazało się, że jest w niej oliwa i ocet, i sos z makreli, i różne jarzyny, gotowane na pięcioletnim winie. Potem już nikt nie spojrzał ani na wątróbki gęsie, ani na zające hiszpańskie, ani na kaczki tuczone figami. Wzięto się do owoców i wina, które nalewano do pucharów z kryształu górskiego. Na widok tancerki, która przyszła pokazać swą sztukę, surowy Pompejusz skrzywił się i Lukullus poprosił ją, by odeszła. Cicero zamyślił się:

--- Znam ją. To Dionizja. Odeszła urażona. Będzie cię to drogo kosztowało, Lucjuszu. Bierze za występ kilka tysięcy, a dziś z pewnością zażąda więcej.

Zmierch zapadał. Ptaki po gąszczach posnęły, sad zaczął silniej pachnąć, z głębi nimfeum słychać było szmer wody. Tam zapalono pierwszą lampę. W jej świetle ukazała się grota wyłożona perłowcem i ciche pełganie ogników oliwnych zdawało się otwierać, to zamykać opa-

lowe barwy, które mieniły się nieustannie. W sali też zapalono lampy. Było długie milczenie, Ciceró zasępił się i nagle:

-- Wiele dałbym za to, żeby wiedzieć, jak nasze trzy imiona zapiszą się w pamięci ludzkiej? Co po nas zostanie?

Lukullus uniósł się nieco na łożu:

-- Ty, Marku, możesz być spokojny. Dopóki żyć będą ludzie, którzy mówią naszym językiem, nigdy ci nie zapomną, co uczyniłeś dla jego chwały. Jedyne wojny, jakie prowadziłeś, były te najszlachetniejsze: myśli ze słowem. Nie miałeś innych żołnierzy, setników, legatów prócz zaimków, przymiotników, czasowników i rzeczowników. Byłeś ich wielkim wodzem. Nikt przed tobą nie umiał tak sprawiać szysku słów, nikt na równi z tobą nie prowadził długiego, radosnego pochodu okresów. Największy zdobywca może odbyć jeden, dwa, najwyżej trzy triumfy, a tobie już nikt po wszystkie czasy nie odejmie triumfalnej purpury, w której ukazywać się będziesz na dr&dze każdego wieku.

Ciceró przymknął oczy, aby nie spostrzeżono na nich wilgotnej mgły, którą je przysłoniła ta daleka, wielka przyszłość.

Wtedy i Pompejusz zapytał:

-- A cóż o nas obydwu sądzisz, Lucjuszu?

-- Ha, z nami inna sprawa. Myśmy wojowali krwią i żelazem. To znaczy: gniewem i namiętnością. Póki w ludziach będą te same gniewy i te same namiętności, które nas prowadziły do boju, będą się na nas powoływali. A gdy staną się im obojętne królestwa Partów i groźby jakichś rozbójników morskich, z trudem zrozumieją, o cośmy walczyli i czego chcieli.

Zamyślił się chwilę i dodał:

-- Zresztą nierówny jest nasz los: mój i twój, Pompejuszu. Ja na swój mogę już patrzeć trochę z wysoka. Nie spodziewam się w nim innej zmiany, prócz tej, że gdy mi się sprzyrzy ten dom, pojedę do swojej willi pod Neapolem albo do jakiej innej i zamiast jeść pstrągi w winie z Tyburu, każę je gotować w winie z Samos, na słodko. Aby twój los znać, musielibyśmy tu mieć jeszcze czwartego biesiadnika, który jest stąd daleko.

Zrozumiano, że mówi o Juliuszu Cezarze. Twarz Pompejusza na- biegła krwią, Lukullus to spostrzegł i zaraz zmienił rozmowę:

-- Patrz, Pompejuszu! Księżyc wyszedł i w sadzie jest jasno jak w dzień. Widzisz zapewne to drzewo pośrodku? Małe, o pniu pokrytym czerwonobrunatną korą. Prawie nie widzisz jeszcze listków, które są drobne i nie zakrywają kwiatów. Wydaje ci się, jakby osypane śniegiem. Gdy przekwitną, wyrosną owoce, najpierw zielone i cierpkie, potem dojrzeją i staną się czerwone jak mięso. Mają smak wyborny: w lecie garść tych owoców pokrzepi cię i odejmie pragnienie. Znalazłem je w Azji, kiedy uganiałem się za Mitrydatesem. Zebrałem trochę tych owoców, ale wyschły i zostały z nich tylko pestki. Posadziłem je

tutaj i widzisz, przyjęły się. Sadzę je odtąd po wszystkich willach. Kocham to drzewo. Jeśli chcesz wiedzieć, co myślę, powiem ci: ta garść pestek, które schowałem w jakimś woreczku, znaczyć będzie więcej dla tych, co przyjdą po nas, niż wszystkie skarby Mitrydata i Tygrane- sa, które ofiarowałem Rzymowi. I pszczoły krążyć będą wśród tych białych płatków, gdy cały trud moich bezsennych marszów po lasach, górach, śniegach, wszystka ta 'krew, którą wtedy przelałem, nie znajdzie żadnego wspomnienia.

-- Jak się nazywa to drzewo? -- zapytał Cicero.

-- Cerasus. Nazwałem je tak od miejscowości, w której je znalazłem. Wszyscy trzej zamilkli. Z zarośli sadu słowiki podniosły swój śpiew wiosenny.

"Trzy znaki Zodiaku"

W KAMIENIOŁOMACH

Dookoła kamieniołomów rozciągała się szczerza pustka. Lasy, które tam niegdyś rosły, wyrąbano i zostało z nich tyle tylko drzewa, ile go było w nędznych szopach niewolniczych i w sągach złożonych na opał. W jednym miejscu, niedaleko rzeki, było trochę ziemi uprawnej, pod zbożem i warzywem. Zapuszczona winnica na pagórku dawała wino ciemne i gorzkie. Ponad ugorami, zarosłymi rzadką trawą i ostami, biegły czerwone łuki akweduktów, nieustannie szumiących wodą, która z gór płynęła w ołowianych rurach do miejskich studni, fontann i łaźni. Zdawało się, że samo Sirmium, miasto wspaniałe i radosne, wylatuje ze śmiechem ku milczącym pustkowiom. Jego mury, wieże, błyszczące dachy podniosły się na widnokręgu, dalekie i niedostępne, pomimo tej szerokiej, białej drogi, która mijając kamieniołomy wlewała się, jak jasny strumień, pomiędzy ledwo szarzące domy przedmieścia. Gdzieś tam, pośród owej kamiennej gromady, otwierała się potężna brama cesarska, dla ludzi z kamieniołomów prawie tak samo bajeczna, jak brama niebios.

Albowiem można tu było wiek swój przeżyć, codziennie zazdroszcząc ciągnącym ku miastu wołom, osłom i mułom. Dwa tysiące niewolników cesarskich pracowało w kamieniołomach. Najmniej połowa z nich przyszła tu na głód, znój i nędzę, wypędzona okrucieństwem wyzwolenców lub niełaską samego pana. Byli i tacy, co się już tutaj urodzili, z rodziców, o których zapomniano i których kości leżały na cmentarzu pod Ognistą Górą. Trud ich był jednostajny i ciężki. Zarówno zimą, jak latem, od świtu do nocy, wyłamywali z gór bloki kamienia, na powrozach ciągnęli je do pracowni rzeźbiarskich, ładowali wozy gotowych kolumn i posągów, które później żołnierze odprowadzali do miasta. Spali we wspólnych szopach, grzejąc się od chłodu własnymi ciałami, a kiedy słońce zachodziło, siadali w długim szeregu, każdy z miską na kolanach, czekając na jedzenie, które roznosili kucharze. Jedyną wygodą było, że na noc nie zakuwano w kajdany, a jedynym dobrodziejstwem, że kierownicy robót, zwani "filozofami", nie używali zbyt często różeg.

Wspólna niedola nie zbliżała tych ludzi. Milcząc spełniali swą pracę, milcząc brali pożywienie, jakby każde słowo było zakazaną rozkoszą. Dzieliła ich różnica ras i języków. Byli ze wszystkich stron cesarstwa, a łacina, którą słyszeli w rozkazach i obelgach, pozostawała dla nich mową tajemniczą i groźną. Wśród całej rzeszy było tylko dwóch przyjaciół: Klaudiusz i Symplicjusz.

O Klaudiuszu mówiono, że był kiedyś wolnym, ale nikt nie wiedział, przez jakie zdrady czy nieszczęścia utracił swobodę. To pewne, że trybun cesarski Lampadius zakupił go wraz ze stu innymi na targu niewolników w Nikomedii, czas jakiś trzymał do własnych posług, wreszcie odprawił do kamieniołomów. Pewnego dnia, słysząc naradę filozofów z kilku rzeźbiarzami, zwanymi ądratarii, i widząc, że nie mogą znaleźć stosownego bloku do wykucia posągu boga słońca na wozie, w cztery konie zaprzężonym, ośmielił się odezwać. Ofiarowywał swą pomoc i mówił, że taki blok znajdzie. Jakoż tego samego wieczora znalazł, i to właśnie w odcinku Symplicjusza.

Symplicjusz od kilku dni ciął w tym miejscu skałę, równo pod założony z czterech boków sznurek. Z trzech stron wkopał się już kilofem tak głęboko, że powstały rowy na wysokość dorosłego mężczyzny. Należało jeszcze wyciąć taki sam rów z czwartego boku, a następnie powoli i z wielką ostrożnością, aby blok przez pół nie pękł, wrzynać się w skałę od dołu. Klaudiusz pomagał mu w tej pracy. Sam zapuszczał świder pod skałę. Symplicjusz zaś wybierał odpryskujące kamienie i podkładał grube pale, żeby gładz nagle nie runął. Klaudiusz świdrował z niepojętą zręcznością. Kierownicy przypatrywali się jego robocie z podziwem, gdyż każdemu innemu pękłby świder przy jednym śmielszym obrocie. Symplicjusz nie mógł nadążyć z wybieraniem ulatujących spod żelaza kamieni i z podkładaniem palów. Ręce mu drżały z wysiłku, w piersiach rzęziło, ciemniało w oczach. Klaudiusz przerwał robotę i spojrzał na towarzysza.

Włosy miał płowe, oczy niebieskie, płeć bardzo jasną. Miał nazwisko łacińskie, ale nigdy nie widział Italii. Mówił, że gdyby iść przez kilka dni na północ, doszłoby się do ziemi, w której mieszkają jego ludzie, wśród lasów i pól, skąd zabrali go żołnierze. Klaudiusz, słuchając opowiadania, kuł dłutkiem. Gdy Symplicjusz skończył, pokazał mu wyryty w kamieniu krzyż. Niewolnik nie wiedział, co to znaczy. W kilka dni później robota była skończona.

Klaudiusza wzięto z kamieniołomów. Dostał własną szopę, jako ądratarius. Napełnił ją wrychle mnóstwem kamiennego piękna. Widziało się tam skrzydlate Wiktorie, stojące na kuli lub zrywające się do lotu; małe uśmiechnięte Kupidyunki; dziwaczne straszdyła lub śmieszne maskary o paszczach szeroko rozwartych, przez które miała tryskać woda fontanny. Były to rzeczy tak piękne, że cesarz Dioklecjan, który wówczas przebywał w Sirmium, brał je do swoich pałaców i świątyń.

Parą razy przysłał Klaudiuszowi nagrodę. Pieniądże zatrzymali dla siebie filozofowie, ale odtąd obchodzili się z Klaudiuszem lepiej, widząc, że mogą z niego mieć zyski. Przez palce patrzyli, jeśli porzuciwszy dłuto, szedł odwiedzić Symplicjusza.

Nastał czas wielkiej roboty. Filozofowie otrzymali rozkaz, aby jak najrychlej wysłać do Rzymu dwadzieścia kolumn z porfiru, tyleż konch, czyli zbiorników na wodę pod fontanny, i sto marmurowych wanien. "Inne kamieniołomy pracują lepiej" -- pisał trybun Lampadius. Przysłano dwóch nowych kierowników, którzy od rana do nocy biegali z kijami po odcinkach. Zaczęło się o pierwszych deszczach wiosennych, a w lipcowe upały ledwo połowa była skończona. Ci, którzy łamali kamień w Tłustej Górze, marli od żaru słonecznego i brudnej, śmierdzącej wody, wyciekającej z wybranych podziemi. Ci, którzy bili kilofami w czerwony jak krew porfir Ognistej Góry, padali od pragnienia tuż pod szumiącymi łukami akweduktów. Czuli nad sobą uniesiony śpiew wody, czystej i dźwięcznej jak kryształ, córki śniegów i źródeł górskich, bujnej i roześmianej boginki, która przelatywała drogą podniebną ku dalekiemu miastu. Zasluchanym w ten szmer odbiegający wypadały z rąk kilofy. Ani kije dozorców, ani rozpalone żelazo nie wracały życia odrętwiałym ciałom. Kto padł na ziemię, nie wstawał więcej. Umarłych spychano do wspólnych dołów.

Klaudiusz pracował w swej szopie. Siedział okrakiem na bębnie olbrzymiej kolumny i z rozważą wykuwał roślinny ornament głowicy korynckiej. Gałęzie i liście wysnuwały się z twardego kamienia, jak gdyby rzeczywiście rozwijały się z korzenia ukrytego przed ludzkim wzrokiem. W tej chwili posłyszał za plecami ciężkie jak jęk westchnienie. Przy drzwiach stał Symplicjusz. Nie widzieli się od paru tygodni. Klaudiusz ledwie go poznał. Był wyschnięty, szerniał, oczy błyszczały gorączką.

-- Pan z tobą -- zawołał.

-- Pić!

Klaudiusz wziął go w ramiona, posadził na przewróconej kolumnie, podał dzban z wodą. Było w nim jeszcze trochę cieplej i prawie gęstej cieczy.

-- Uciekłeś? -- zapytał Klaudiusz.

Niewolnik skinął głową.

-- Byłeś przy kilofach?

-- Nie. Przy linach.

Klaudiusz spojrzał na jego wymizerowane ciało, okryte w biodrach brudną szmatą. Na nagich barkach, ramionach i piersiach znaczyły się krwawe pręgi od grubych lin, którymi ciągnięto bloki kamienne. Sprzęgnięci w długi rząd, ujęci w powrozy niby w jarzmo, wlekli niewolnicy ogromne głazy z kamieniołomów do szop rzeźbiarzy, a gotowe kolumny wtaczali na wozy.

-- Lina się urwała -- mówił Symplicjusz. -- Trzech najbliższych kamień zgniótł na śmierć. Dwom nogi złamało. Ja uciekłem.

Zapadłe, wąskie płuca dyszały ciężko. Oddech dobywał się z nich jęczącym rżeniem. Klaudiusz bezradnie gładził go po płowych włosach.

-- Lada chwila może przyjąć Chrisolitus. Wstań Powiem, że cię wziąłem do pomocy. Znasz moją robotę. Będziesz wygładzał konchę.

Podał mu młot i dłuto. Symplicjusz powłókł się w stronę, gdzie leżał złom z wyżłobionym w środku wnętrzem. Klaudiusz wziął mu z rąk dłuto, potrzymał je chwilę w rękach, przeżegnał: -- In nomine Domini nostri, Jesu Christi. -- Symplicjusz wparł narzędzie w twardy porfir i kuł pod zamiecią różowego pyłu. Siły wracała mu twoga, że wpadnie dozorca, skatuje i odpędzi do kamieniołomów. Pod ostrym żelazem znikła wszelka zmarszczka na równo wytoczonej powierzchni, gład nabierał połysku i miękkości otwartego podniebienia, a brzegi wielkiego zbiornika wyginały się łagodnie jak rozchylone wargi. Tylko w samym środku konchy pozostawał niewielki otwór: tędy miała przechodzić ołowiana rura, przez którą bić będzie woda ponad głową śmiejącego się fauna.

Skądże ona tryśnie i ku czyjej radości wylewać się będzie? Czyje ręce spoczną na brzegu tej konchy, zroszonej jego potem? Czyje oczy przeglądać się będą w ruchomym zwierciadle, które zmyje na zawsze odbicie jego twarzy, tak straszne teraz na niepokalanej powierzchni gładkiego jak skóra kamienia? Klaudiusz rzekł:

-- To wszystko idzie do Rzymu. Nasz pan, Diocletianus Augustus, buduje wielkie termy. Nie było jeszcze takich na świecie. Gdy zakładano fundamenta, zdawało się, że z tego całe nowe miasto powstanie. Widziałem. Są tam sale sklepione i wysokie, jedne dla igrzysk, gonitw, zabaw, inne z basenem do pływania albo ogrzane gorącym powietrzem, podłogi z cudnych mozaik, pułapy z kosztownych kasetonów, ściany z marmuru albo malowane, kolumny, te właśnie, które mu robimy: każda z jednego kamienia, niby jednopienne drzewo, ubrana kapitelem z akantów. Po niszach stoją posągi, a w salach, na dziedzińcach, w krużgankach biją wodotryski nad takimi jak ta konchami.

Symplicjusz suwał dłonią po powierzchni swej konchy, aby wy badać, czy nie została jeszcze jakaś zadra. Świadomość, że pracuje dla Rzymu, przejęła go nowym strachem. I jak zwykle, gdy myślał o Rzymie, wracała mu pamięć chłopca, który na krańcu ojczystych lasów po raz pierwszy w życiu zobaczył orły, błyszczące na sztandarach wojska, i rzecz jeszcze dziwniejszą: długą drogę, wykładaną kamieniami, z małymi słupkami po brzegach, słupkami, co biegły od jednej mili do drugiej -- tajemnicze znaki odległej, a czujnej obecności Rzymu. Skądże się wzięła ta droga pośród błot i bagien, jak przeskoczyła rzeki, jak

rozcięła lasy? Sam poszedł tą drogą, prowadzony na postronku, w zgiełku maszerującego legionu, potem zepchnięto go na inną, równie długą i białą, .poznaczoną tymi samymi słupkami, które nie znając spoczynku, od wschodu i zachodu, północy i południa biegną do tego wspólnego domu wszystkich dróg świata. Myśl, osłabiona pracą, głodem i pragnieniem, nie umiała już wysnuć z siebie nic, tylko te wstęgi, oślepiająco białe, giętkie, nieprzeliczone, które plotły się dookoła ścisłą gęstwiną nierozwikłanych więzów. Symplicjusz omdlał. Klaudiusz, niosąc go na swoje posłanie, nie słyszał, jak do szopy wszedł Chrisolitus z dozorcą.

-- Co to za niewolnik? -- krzyknął filozof.

Klaudiusz pochylił mu się do kolan.

-- Wasza łaskawość --- rzekł -- to mój pomocnik.

-- Pomocnik? A śpi w samo południe?

Kopnął Symplicjusza w żebra. Niewolnik otworzył oczy i widząc Chrisolita, próbował się podnieść. Nagle krew buchnęła z ust i z nosa, opadł na słomę. Filozof przyjrzał mu się uważnie.

-- Jak się nazywa? -- zapytał.

-- Symplicjusz -- szepnął Klaudiusz.

Chrisolitus zwrócił się do dozorczy:

-- Skreślić go z rejestru! Nie dostanie już więcej jeść. Nie potrzebuje.

Klaudiusz znów mu przypadł do kolan.

-- Wasza łaskawość! Wasza łaskawości -- skomlał.

Chrisolitus wyszedł.

"Trzy znaki Zodiaku"

ASPAZJA

Na kilku małych karteczkach wynotowałem wszystko, co można dziś o niej wiedzieć z zachowanych autorów starożytnych. Biedniutki okruszyny luźnych i sprzecznych wiadomości. Przesiewam je pilnie, rozbieram, rozważam na drżących szalkach prawdy. Fakciki ułomne, niedorzeczne prawie w swej bezdusznej zwięzłości. Nie mają ni barwy, ni woni. Zazdrozczę tym, którzy, pisząc o jakiejś wyjątkowej kobiecie nowszych czasów, mają tyle sposobności, by zetknąć się z nią bezpośrednio. Jeśli nawet nie posiadają jej pamiętników lub listów, mogą zawsze odnaleźć bodaj strzęp jej istnienia, czy to będzie rękawiczka, którą nosiła, czy ulubiona jej książka. Ja zaś mogę sobie co najwięcej wyobrazić, że na jońskim wybrzeżu ubierała się Aspazja w szatę z miękkiego, żółtego byssosu, a w Atenach nosiła szafranowy himation, bo taka była wówczas moda, lecz nigdy nie dotknę żadnego przedmiotu, na którym spoczęła jej ręka, ani od nikogo nie dostanę wskazówki, jakie były jej osobiste upodobania.

Starając się wywołać przed sobą postać Aspazji, nie znajduję po prostu żadnego oparcia. Wszystko, co zdołam uczynić, to z trudem wyłuskane daty jej życia powiązać z innymi, pewniejszymi i odtworzyć obraz czasów, w których żyła. Muszę się w jakiś sposób zadzierzgnąć o tajemnicę jej duszy, aby ten nieuchwytny kształt nie zasunął się nagle w cień, co tak doń przylega, jakby na wieki był jego wyłączną własnością. Trzeba ją bodaj przez chwilę wrócić na światło, by w błahym zdrobnieniu powtórzyła swój piękny byt ziemski, jako mara, której stopy, nie wyciskające śladów, przechodzą po oddalonych wspomnieniach...

Aspazja urodziła się około roku 470 przed Chrystusem, w Azji Mniejszej, w Milecie. Prastare miasto jońskie, założone jeszcze w czasach mikeńskich (Homer mógł śpiewać na dworze pierwszych jego władców), podnosiło się właśnie z ruin po najeździe perskim. Szybko wracało do dawnej świetności. W latach dzieciństwa Aspazji, spod olbrzymiego lwa marmurowego, stojącego u wjazdu do portu, różnobarwne skrzydła statków ładownych rozwijały się ku odwiecznym

szlakiem zamorskiego handlu. Ojciec Aspazji zwał się Aksjochos. Może był jakimś krewnym ateńskich Alkibiadesów, którzy w swym rodowodzie mieli przodków tego imienia. Był człowiekiem zamożnym i oczywiście kupcem, jak wszyscy bogacze z Miletu. Z wysokości grobli portowej Aspazja żegnała ojcowskie okręty, płynące w stronę Morza Czarnego, w kraj cienia i słońca, lub do zachodniej Marsylii, skąd żeglarze przywozili sobie kochanki o niebieskich oczach.

Aspazja odebrała wszechstronne wykształcenie. Nie było to rzeczą trudną w czasach, gdy świat był jeszcze bardzo młody i kończył się u słupów Herkulesa. Nie trzeba było do nauki książek, których Grecja miała wtedy dość niewiele. Wiedzę podawano w żywym słowie, w chłodnych gimnazjach, w zacisznych portykach lub gdzie bądź, byle z daleka od nazbyt gorących promieni słonecznych i gwaru ulicy. Nauka była mało skomplikowana: wiele poezji, wiele muzyki, sporo filozofii w swobodnych dyskusjach lub wykładach, oddychających szerokim powietrzem przestworów metafizycznych. Nabywało się to w sposób łatwy, nie krępujący wolnych poruszeń zdrowego ciała, gotowego zawsze do zrzucenia lekkich szat, aby pobiec ku towarzyszom, zajęтым ćwiczeniami fizycznymi.

Aspazja Ignęła zwłaszcza do krasomówstwa, które właśnie wówczas nabierało znakomitej przewagi. Była to nowa, niezwykle efektowna sztuka, nadająca mowie pozornie codziennej urok i wartość poezji -- sztuka, jakby stworzona dla Greków, miłujących słowo wprost namiętnie. Aspazja posiadała ją w tak wysokim stopniu, że korzystając ze swobody pańien jońskich, mogła publicznie nauczać wymowy.

Mając lat dwadzieścia parę, przeniosła się do Aten. Marzyła widocznie o jakiejś szerszej arenie, skoro wybrała to miasto, gdzie rodząca się nowa cywilizacja skupiła wszystkie prawie wyższe umysły ówczesnego świata. Aspazja zajęchała do krewnych, a miała jeszcze kilka domów połączonych ze swoją rodziną związkiem gościnności, co w Grecji było nieraz trwalsze od ścisłego powinowactwa. Piękna, młoda, wykształcona, obdarzona płynną, błyskotliwą wymową jońską, stała się duszą wykwintnych zebrań towarzyskich. Ponieważ koniecznie chciała nauczać, urządzono dla niej w zaprzyjaźnionych domach małe salki odczytowe, gdzie występowała z popisami krasomówczymi, na różne wolne tematy. Nazywano ją: sofistria, co właściwie należałoby przetłumaczyć: sawantka, albowiem nie poszła za przykładem sofistów i nie brała wynagrodzenia.

Nauczanie swoje wykonywała po amatorsku, mieszając do wykładów sporo filozofii lub przerywając je dialektycznymi igraszkami z każdym, kto wyszedł na ochotnika spośród zgromadzonych. Filozofia była wówczas zajęciem najmodniejszym. W braku pozytywnych wiadomości o rzeczach, tym chętniej rozprawiano o wszystkim w sposób oderwany. Był to wiek filozofów, bardziej jeszcze niż wiek poetów i artystów.

Filozofia wciskała się wszędzie. Stary metafizyk z Kladzomenów, Anaksagoras, badał perspektywę teatralną, architekt Hipodamos z Mi- letu objaśniał budowę miast zasadami filozofii przyrody, Poliklet odlewał w brązie swoje idealne postacie atletów, stosując się do nauki o proporcjach. Aspazja przyswajała sobie wszystkie najnowsze prądy i umiała je zużytkować tak, że słuchano jej z podziwem i przyznawano jej umysłowości zapładniającą oryginalność. Sokrates, dwudziestoletni młodzieniec, o gburowatym wyglądzie i zapalnej duszy, zakochał się w niej, nie odstępował ani na krok, a kiedy sam później stał się filozofem, mówił, że Aspazja go tego nauczyła.

Cudzoziemka z Miletu rozmyślała się w Atenach. Wśród tych ludzi, którzy zdawali się zbierać mądrość niby jakiś dojrzały owoc swej ziemi, czuła się lepiej niż we własnej ojczyźnie. W tym mieście, rzuconym między marmurowy Pentelikon a miodny Hymettos, ogarnęło ją jakby tchnienie nowego życia. Niby te same, co w Milecie, gorące południowe ulice, posypane białym pyłem, niby to samo plemię greckie, krzątające się około dnia powszedniego w swarliwej mowie joń- skiej, niby ci sami ludzie, którzy sprzedają i kupują, a przecież coś innego, coś, co Ateny wynosiło ponad inne miasta, jako nie uznaną jeszcze stolicę Hellady. Był w tym narodzie dziwny rozmach, a była i duma, na pozór nieusprawiedliwiona wyglądem kraju, który przychodząc na świat miał nędzę za mleczną siostrę.

Zdawało się Aspazji, że nad tymi ludźmi panuje jakaś myśl, o której nikt głośno nie mówi, a jednak każdy spełnia trud swego życia w usłudze tej idei. Jakoż była to myśl nieprawdopodobna, szalona -- o zjednoczeniu wszystkich państewek greckich w jedno społeczeństwo helleńskie pod kierownictwem Aten. Tych paręset tysięcy narodu, osadzonego na chudej glebie attyckiej, miało dokonać tego, aby krzemienisty szczep dorycki i niepewny żywioł eolski, rozrzucony po wyspach arcy- morza Egejskiego, i zwinny, wiecznie naprzód biegnący strumień joński połączyły się razem pod błękitnym spojrzeniem Pallady, opiekunki zuchwałego miasta. Któż mógł to pomyśleć? Oczywiście Perykles.

Aspazja słyszała o Peryklesie już dawniej, w Milecie. Ale wiedziała o nim tylko to, co wszystkim było wiadome: że jest jednym z dziesięciu wodzów ateńskich, czyli strategów, a więc z urzędu pozornie znaczy niewiele; że jednak kieruje wszystkim, prowadzi wojny, znosi się z państwami obcymi. Dowiedziała się również, że pochodzi ze starożytnego rodu Alkmeonidów i że podobno z głosu i rysów twarzy przypomina dawnego tyrana 'Pizystrata. Najważniejszym było to, co podawano o jego wymowie. Nazywano go "Olimpijczykiem", albowiem gdy mówił, zdawało się, że gromy ciska.

To mogłoby wystarczyć. Lecz Aspazja była kobietą i chciała nie tylko słyszeć Peryklesa, ale i widzieć go -- z bliska. Nie było to łatwe. Nie pokazywał się na mieście inaczej, jak tylko, żeby przejść na rynek

lub do ratusza. Gdy go zobaczyła raz na ulicy, nie odczuła żadnego wrażenia. Miał głowę nieco długą, którą pochylał ku prawemu ramieniu. Słusznie nazywano go "Cebulą głową". Nie był ani piękny, ani postawny. Szedł krokiem równym, spokojnym, odpowiadał na powitania wznosząc do góry prawą rękę tak, że nie naruszał linii fałdów swego płaszcza. Jego powaga i spokój wydały się Aspazji sztywnością. Ale to jednak był on, wcielenie Rozumu, który rozpieczętował żywioły burzliwego państewka kojarzy w harmonijną całość, twórca wielkości Aten, obrońca praw ludu, "najpierwszy z Hellenów".

Aspazja pragnęła jak najrychlej widzieć go w gronie swoich przyjaciół. Oczywiście mogło w tym być jeszcze trochę innej chęci. Któryś z plotkujących historyków przypuszcza, że córka Aksjochosa jechała do Aten wprost z zamiarem zdobycia Peryklesa. Na razie udało się jej poznać go osobiście. Mieli dość wspólnych znajomych i ci ułatwili zbliżenie.

Perykles wszedł do "koła Aspazji". Z początku zjawiał się rzadko i swoim zwyczajem przysłuchiwał się w milczeniu wszystkiemu, co się mówiło. Ale że były to słowa i myśli bardzo mu bliskie, powoli dawał się wciągać do dyskusji. W końcu powziął nieodparte zamiłowanie do tych zebrań, które tworzyły najrozkoszniejsze zamknięcie jego dnia roboczego. Rozmowy pod okiem uroczej cudzoziemki, z ludźmi o wartkim umyśle i bez uprzedzeń były tak oderwane od codziennej pospolitości, jakby się odbywały gdzieś poza życiem, na jakiejś terasie, wyniesionej wysokimi kolumnami nad ogrodem, pełnym cienia, woni i rosy wilgoci.

Perykles dawno już ukończył czterdziestkę. Zdawało mu się, że go już nikt niczego nie nauczy. Tymczasem przy tej kobiecie zaczynał poznawać rzeczy nowe, o których istnieniu nawet nie wiedział. Afrodyzyjski blask oczu Aspazji rozświetlił przed nim mroki jego prywatnego życia i wydało mu się ono nagle nędzne i osamotnione. W domu była żona, zwyczajna gospodyni, coraz bardziej kłótniwa, zabobonna i ograniczona, podstarzała już baba, która, urodziwszy mu dwóch synów i utraciwszy dawną urodę, nie miała żadnych więcej pojęć. Dłuższe obcowanie z Aspazją i może pewne słowa, niby ubocznie przez nią wypowiedane, rozbudziły w Peryklesie myśli o jakimś ściślejszym połączeniu dwojga istot, związanych czymś więcej poza gnuśnym mechanizmem fizycznej miłości.

W dwa lata po przyjeździe Aspazji Perykles rozstał się z żoną. Córka Aksjochosa weszła do jego domu. Nie było to prawowite małżeństwo, albowiem cudzoziemka z Miletu nie mogła stać się obywatelką.

telką. W wielkiej mierze sam Perykles był twórcą tych szowinistycznych urządzeń. Zanim poznał Aspazję, bronił zaciekle czystości małżeństw obywatelskich. W jego starszylacheckiej rodzinie nie było dotychczas ani kropli krwi obcej. Miłość kazała mu o wszystkim zapomnieć. Po raz pierwszy łamał wiarę swemu programowi. Ustaw jednak nie dało się cofnąć 1 Aspazja stała się po prostu nałożnicą, a dzieci, o ile by je miała, wykluczonymi ze społeczności bastardami. Ale w tym człowieku, który poświęcił całą swą młodość służbie publicznej, zawrzało tak silne pragnienie osobistego szczęścia, że nie myślał o żadnych następstwach.

Wielkość obojga małżonków nie pozwalała nikomu pamiętać o formalnościach. W oczach wszystkich tworzyli oni małżeństwo nie widzianego dotychczas typu. Ateńczycy bowiem wyznawali taką zasadę: "Dziewki publiczne mamy na codzienny użytek, hetery dla rozkoszy, a żony, aby nam dzieci rodziły" *. I nagle ujrzeli urzeczywistnienie prawdziwej 1 wielkiej miłości, nie przeczuwanej nawet przez poetów. Dwoje ludzi, zdolnych sobie pomagać w każdej odrobinie życia, najlichsze czynności przyozdabiało pieśczęcią. Fakt, że Perykles, ilekroć wracał lub wychodził z domu, ścisnął i całował żonę -- utrwalono w historii jakby coś wyjątkowego i niemal doniosłego. Byli wzorem nowego stosunku mężczyzny i kobiety, jak się zdaje, szczególnie rzadkiego we wczesnej starożytności. Perykles i Aspazja kochali się nie tylko popędem ciał, lecz nade wszystko instynktem dwóch rozumiejących się dusz, przez swą niezwykłość zawsze dość odosobnionych od reszty świata. W tym związku męska surowość Peryklesa kojarzyła się w zupełnie greckiej harmonii z łagodnością i wykwintem subtelnej kobiecości Aspazji.

I jeszcze jedno. Życie Peryklesa jako ateńskiego męża stanu było nie kończącą się nigdy walką na pełnym niebezpieczeństwie boisku politycznym, gdzie każdy krok groził upadkiem i osobistą zagładą. Demokracja ateńska, taką jaką stworzył sam Perykles -- zazdrosna o swe prawa, nieufna wobec każdej bardziej jaskrawej postaci, decydująca właściwie sama o wszystkim, na tłumnych i zmiennych zgromadzeniach ludowych -- była niezmiernie trudna do opanowania. Kunszt prowadzenia dusz, który Perykles posiadał w stopniu tak wysokim, choćby najbardziej udoskonalony, mógł każdej chwili z przyczyn odległych i nieobliczalnych okazać się zawodnym. Nigdy nie można było przewidzieć, czy wróci on do domu zwycięzcą, czy zdruzgotanym skazańcem. I właśnie ta walka zbliżała ich jeszcze bardziej. Aspazja była przy nim zawsze. Jej wielki umysł poddawał mu nieraz słowa właściwe, a jej jedyne serce rodziło zawsze ten uśmiech, który mu był stokroć większą nagrodą niż wszystkie wieńce i kwiaty, jakie ciskały mu do stóp młode Ateny

gdy wracał z wojennej wyprawy. Na starożytnych nagrobkach spotyka się często pewien motyw, upowszechniony następnie przez wazy malowane: młoda kobieta podaje bohaterowi, wracającemu do domu, puchar pełny krzepiącego wina, ale czyni to gestem tak dziwnym, że cała scena nabiera mistycznego znaczenia i na dnie owej czary odgadujemy jakąś "wodę życia". Oto, jak należy sobie wyobrażać Aspazję witającą Peryklesa, gdy szedł do niej, utrudzony walką z niesfornym tłumem, zbryzgany błotem oszczerstw, z którego obmywała go pieśczoła czystych jońskich oczu.

Aspazja była piękna. Nikt nie pozostawił nam opisu jej urody. Ale zachował się jeden biust opatrzony jej imieniem. Rzeźba przedstawia kobietę młodą, w płaszczu narzuconym na głowę, co oznacza matronę. Włosy nader starannie ułożone w misterne loki, gładko przylegające, schodzą nisko na skronie i zakrywają uszy. Spod włosów wychyla się jasny trójkąt czoła. Nad oczyma, miękko osadzonymi, brwi bardzo delikatne rozpinają się szerokimi łukami, łączącymi się z nosem, klasycznie kształtnym, ale bez owej konwencjonalnej prostolinijności, która tyle chłodu przyczynia najbardziej typowym posągom antycznym. Zwłaszcza nozdrza zdają się być bardziej ruchliwe, obrysowane dwiema lekkimi bruzdami stanowczości czy przekory. Usta wykrojone nienagannie, z małymi dołeczkami uśmiechu po obu stronach wargi górnej, oddziela dość znaczne wgłębienie od brody, pełnej i odrobinę tylko wystającej naprzód. Policzki biegną ku dołowi tak miękko, że owal całej twarzy ledwo się zaznacza. Szyję szeroką, łagodnym spadkiem połączoną z barkami, przecinają dwa fałdy równoległe, znamionujące ciało pulchne, lecz bez obfitości. Oblicze jest tak spokojne i jasne, że można brać z niego bez miary pewność i zaufanie. Nie ma oczywiście nic nad- zmysłowego w tej pięknej, okrągłej głowie, lecz jest w niej jakiś czysty, ogromnie ludzki wyraz pohamowanej radości i trwałego zadowolenia. Taka głowa pozwala domyślać się postaci wysokiej, o kształtach harmonijnych, wypełnionych zdrowym, rozkwitłym ciałem, obciążonym delikatną skórą. Musiała mieć głos równy i śmiech powściągliwy.

Dom Peryklesa nabrał nowego życia, odkąd córka Aksjochosa zaczęła w nim rządzić. Gospodarstwem nie zajmowała się zbyt wiele. Nie było to potrzebne. Perykles miał zaufanego powiernika w służbie swym Euangelosie, który doglądał jego majątku. Corocznie sprzedawano wszystkie plony z jego posiadłości, a z Uzyskanej sumy zakupywano co dzień na rynku rzeczy niezbędne. Dom prowadzono skromnie, bo Perykles, aczkolwiek zamożny, nie znosił wystawności. Był to prawdziwy Grek i Ateńczyk, który poprzestawał na małym, troszcząc się wyłącznie o inne sprawy. Aspazji najzupełniej dogadzał ten system, uwalniający jej umysł od kłopotów gospodarskich.

Dla niej stanowisko żony "najpierwszego z Hellenów" było wyma

rzonym szczytem, z którego teraz mogła swobodnie panować. Dom zapełnił się jej wielbicielami i przyjaciółmi męża, a byli to wszystko najwybitniejsi ludzie tych czasów, potężni twórcy ogromnego złomu ludzkiej cywilizacji. Stary filozof Anaksagoras, sofista Protagoras, poeci Sofokles i Eurypides, rzeźbiarz Fidiasz, lekarz Hipokrates, historyk Herodot, budowniczy Iktinos, astronom Meton. Ten najwspanialszy ze znanych salonów był niewątpliwie znacznie obszerniejszy. Wymieniłem tylko najbardziej jaskrawe postacie, najczęściej pojawiające się w związku z imieniem Aspazji i najprędzej przychodzące na myśl przez swą wielkość.

Biesiady, które ci ludzie odbywali, w niczym nie przypominały owych uczt przesadnych, jakie tak nęca nasze podniebienia, gdy o nich czytamy w rocznikach. Jadło się tam niewiele, bo na ogół wieczerze ateńskie w oczach żarłoków były "głodne". Ryby, oliwki, sery, parę główek czosnku i jak najwięcej owoców. Piło się trochę wina, zmieszanego z wodą, tyle, ile potrzeba tej "rosy ognistej", by podtrzymać umysły w stanie lekkiego podniecenia, które myślom nadaje wdzięk swobodnego i zwinnego tańca. Oszalałamiano się za to do woli nowymi ideami, dialektyką, rozszczepianiem pojęć, rzutami dowcipu, igraszką słów, wypowiedzianych z właściwym Grekom marnotrawstwem.

Aspazja czuwała nad tym, aby owe biesiady nie zmieniły się w kwaśne schadzki ludzi przesyconych rozumem. Dzięki umiejętności doboru i kojarzenia różnych zalet towarzyskich, dbała o ton jak najwyższy przy równoczesnej trosce o pogodę nastroju. Pomagał jej w tym młody Sokrates, który stanowił przeciwwagę wszystkich zasępionych i do zacisza tego wyjątkowego domu wnosił podmuch ulicy z jej rubasnością, humorem, zuchwalstwem. Obecność kobiety młodej, pięknej i mądrej utrzymywała tych wszystkich mężczyzn w posłuszeństwie dla zasad dobrego wychowania i zarazem działając podniecająco, zachęcała do tym wydatniejszego współzawodnictwa. Eurypides pod jej spojrzeniem wyzbywał się swej nienawiści do kobiet i chętnie widział w Aspazji jakieś nowe, bardziej filozoficzne, wcielenie Afrodyty. "...Mówią, że Cypryda zaczerpnęła fal z Ilios i rozlała je po kraju pod postacią miłych i świeżych zefirów, i wysłała Erosów, aby połączyć się z mądrością i podjąć dzieła wszelkiej cnoty..."

W kole Aspazji nadawano właściwe znaczenie Peryklesowej idei zjednoczenia. Ci ludzie budowali Ateny jako najwyższą siłę moralną. Oni jedni w całym ówczesnym świecie rozumieli, że istotna potęga państwa zasadza się na jego cywilizacji. Wśród powszechnego zbrojenia głosili rzeczy pozornie bez sensu: że najsilniejsze jest to państwo, gdzie najpiękniej tańczą, śpiewają i grają na cytrze, gdzie rzeźbiarze, malarze, poeci, filozofowie pracują z największym wysiłkiem, aby ku ziemi przybliżyć piękno i prawdę.

Kiedy odbywały się te biesiady, budowano Partenon, rozwijano dramat, tworzono nową filozofię. Współbiesiadnicy przychodzili wprost ze swoich warsztatów i pracowni, opanowani jeszcze natchnieniem, na które szukali najodpowiedniejszego wyrazu. Zwierzali się ze swoich trosk twórczych i przed równymi sobie roztrząsali swe sumienie artystyczne. Z tym samym zapałem, z jakim podzielała trud polityczny Peryklesa, wchodziła Aspazja w koleiny każdego samodzielnego myślenia. Rozumiała wszystko i wszystko odczuwała. Sama nie tworząc, uświadamiała innym ich możliwości. Jakąś tajemniczą mocą swej przebogatej istoty nadawała dążeniom tych ludzi pęd górny, mocny i łatwy. Wszystko, co wówczas powstaje, wykazuje widoczny cel: zerwanie ze sztywnością poprzedniej epoki, zwrot ku formom lżejszym, bardziej łagodnym. Ma się wrażenie, że to pod pieczęcią własnych pragnień Aspazji kolumny Partenonu otrzymały swoją boską harmonię. A już zupełnie wydaje się pewne, że za jej sprawą Perykles, gdy mu wyrzucano zbytnią hojność w pracach nad upiększaniem Aten, powiedział na zgromadzeniu ludowym, iż gotów jest wziąć wszystkie koszty na siebie. I nie tylko w tym jednym wypadku Perykles powtarzał myśli Aspazji. Z pewnym natręctwem historycy stwierdzają wpływ żony, który miał sięgać tak daleko, że przypisywano jej autorstwo najświetniejszych mów "Olimpijczyka".

Taka kobieta, jak Aspazja, była w Atenach zjawiskiem nieoczekiwanym. Korzystając z nieograniczonej swobody, najpierw występowała jako nauczycielka wymowy, potem u boku swego męża brała czynny udział w życiu towarzyskim. Żadna obywatelka ateńska nie mogła o tym marzyć. Przede wszystkim nie miała potrzebnego wykształcenia ani należytej ogłady. Wychowywano ją na samicę, mającą jedyne przeznaczenie podtrzymania gatunku. Zamykano ją w domu jak niewolnicę. Nawet na mieście pokazywała się Atenka bardzo rzadko, na jakiś pogrzeb lub uroczystą procesję. "Kobieta może wyjść na ulicę dopiero w tym wieku, gdy zapytywać będą nie: czyją ona jest żoną, lecz: czyją jest matką." Jeśli opuszczała dom, owijała się szalem tak szczelnie, że odsłaniała tylko jedno oko. Inaczej mogła wejść w zatarg z policją obyczajową i zapłacić tysiąc drachm grzywny. Schowana w "gynaj- konitis", stroiła się i malowała, by obudzić zazdrość kumoszek z sąsiedztwa, które schodziły się do niej na plotki. W życiu publicznym nie mogła mieć żadnego znaczenia. Sam Perykles przed poznaniem Aspazji napominał Atenki, że powinny jednej tylko chwały oczekiwać: aby nie mówiono o nich ani źle, ani dobrze.

Aspazja nie stosowała się do tych zwyczajów, uważając je za za

twardziały barbarzyństwo. Postępowaniem swym oburzała wszystkie matrony w mieście. Ponieważ obecność jej była drażniąca, nazwano ją heterą. Nie podobna się temu dziwić: owo lekceważenie ateńskiego obyczaju istotnie zbliżało ją do tych wykwinnych kobiet, które za cenę swej dobrej sławy cieszyły się wolnością. W tym środowisku, gdzie kobieta piękna i młoda zjawiała się pośród mężczyzn jedynie dla ich niewymyślnej rozrywki, nikt z niewtajemniczonych nie umiał odgadnąć, po co ci wszyscy ludzie zbierają się dokoła cudzoziemki z Miletu. Objaśniał sobie każdy tak, jak mu własna pospolitość nakazywała. Nawet z Peryklesa zrobiono lubieżnika, który chował się w pracowni Fidiasza, aby podglądać gołe modelki. Komedio pisarze, zawsze łaknący skandalów, podchwytywali te nastroje i utrwalali je z właściwą im brutalną przesadą. W miarę jak rosło niezadowolenie z Aspazji, a przyłączała się i niechęć polityczna do Peryklesa -- padały ze sceny coraz groźniejsze obelgi.

Na koniec wniesiono przeciw niej oskarżenie publiczne o bezbożność i namawianie dziewcząt do nierządu. Drugi zarzut był natury demagogicznej. Głównie zaś chodziło o tę bezbożność. Szeregiem procesów, w które chciano powoli uwikłać i Peryklesa, kierowała reakcja ortodoksyjna. Pierwszą ofiarą był Anaksagoras, który musiał uciekać, drugą Fidiasz, który podobno umarł w więzieniu ateńskim. Kapłani, wróżbici, wszyscy żyjący z ofiar i obrzędów, powstali przeciw "filozofom", przeciw ludziom, co pragną wiedzieć to, czego bogowie nie chcą, żeby wiedziano. Aspazja była w tej mierze dość skompromitowana, jako przyjaciółka potępionych. Na równi z Anaksagorasem wierzyła, że słońce jest rozpalonym kamieniem, większym od Peloponezu i że wiatry powstają z powietrza, rozrzedzonego przez słońce. Perykles sam przemawiał przed sądem w obronie Aspazji. Było to w roku 432. Ten sześćdziesięcioletni mąż stanu, człowiek nadzwyczajnej wytrzymałości ducha, nigdy nie ujawniający żadnych poruszeń wewnętrznych, mówca, który przed każdym wystąpieniem prosił bogów, aby mu się nie wymknęło jakieś płoche słowo -- płakał. "Wylał więcej łez -- powiada Ajschines -- niż byłby to uczynił, gdyby szło o własne jego życie". Trybunał oniemiał. Sędziowie ateńscy byli przyzwyczajeni do podobnych scen i nawet gniewali się, jeśli ktoś nie próbował tego środka zmiękczenia ich serc, lecz ani jeden z nich nie mógł się spodziewać, że ujrzy przed sobą płaczącego Peryklesa. Sędziowie wydali wyrok uniewinniający.

W kilka miesięcy później zaczęła się nieszczęsna wojna peloponeska, która miała pożreć siły całej Grecji. Do stolicy schronili się mieszkańcy podmiejskich okolic. Zamknięto bramy i z murów oblężonych Aten patrzono, jak nieprzyjaciel pali odwieczne gaje oliwne Acharnów. Chłopi koczowali na odległych ulicach, w świątyniach, w przedsionkach gmachów publicznych -- niezadowoleni, tęskniący do swoich zagrod,

które już nie istniały, beczynni i szemrzący. O wojnie tej mówiło się od dawna, ale kiedy przyszła, szukano winowajców. Gniew ludu spadł na Peryklesa. Kobiety roznosiły plotki, że uległ namowom Aspazji. Powtarzał te niegodziwości nawet Arystofanes, który nie lubił ani Peryklesa, ani jego żony. Perykles stracił władzę nad ludem, do którego przemawiał teraz Kleon, człowiek ograniczony, zuchwały i gwałtowny. W drugim roku wojny wybuchła zaraza. Przyszła zza morza, prawdopodobnie z Egiptu, gdzie wylewy Nilu sprowadzały nieraz srogie pomory. Głowa rozpalona, czerwone, płonące oczy, gardło i język krwią nabiegłe, niemiły odór w ustach -- to były pierwsze objawy. Potem choroba przerzucała się na żołądek, wywołując gwałtowne bóle. Dotkliwa czkawka wstrząsała ciałem, które przybierało barwę siną lub czerwoną i pokrywało się nabrzmiałymi guzami. Chorzy, trapieni straszliwą gorączką, leżeli nadzy dokoła studzien. W siódmym lub dziewiątym dniu następowała śmierć z wycieńczenia bezsennością i biegunką. Niektórzy przetrwali chorobę, lecz odpadały im ręce, nogi lub części rodne, obłożone gnijącymi wrzodami. Inni wyzdrowieńcy tracili całkowicie pamięć. Lekarze nie znali ani źródła choroby, ani leków pomocnych. Składano błagalne ofiary i świątynie napełniały się tłumami żebrzących zmiłowania. Ludzie bezradni przychodzili umierać pod posągami bogów. Wszystkich ogarniało odrętwienie. Kto zauważył na sobie znamiona zarazy, przestawał się troszczyć o jutro. Trupy palono na wspólnych stosach lub porzucano gdzie bądź. Nie było nawet ptaków dla uprzątnięcia zgnilizny. Mówiono, że odstraszone powietrzem, odleciały w inne strony. Psy ginęły razem z ludźmi.

Zaraza nie ominęła domu Peryklesa. Dwaj synowie z pierwszego małżeństwa umarli. Pozostał najmłodszy, syn Aspazji, który nosił imię ojca. Ale jako syn cudzoziemki nie miał obywatelstwa. Nie był prawowitym dziedzicem. Wówczas Perykles, który znów odzyskał serce ludu, zjawił się na zgromadzeniu z niesłychanym wnioskiem: żądał cofnięcia ustawy, że tylko ten może być obywatelem, kto miał oboje rodziców obywateli ateńskich. Słuchano go w milczącym osłupieniu. Nikt się nie spodziewał, że wiek, rozpacz i nieszczęścia domowe mogą tak złamać tę duszę nieugiętą. Wniosek nie przeszedł, ale pozwolono Peryklesowi dla jego zasług wpisać syna Aspazji na listę obywateli. Odchodził więc spokojny, że nie zostawi domu bez imienia i że ołtarze rodzinne nie przejdą w obce ręce.

Były to już ostatnie jego miesiące. Zaraza straciła pierwotną siłę i ofiary jej stały się coraz radsze. Jedną z ostatnich był Perykles. Aspazja nie oddalała się od łóżka chorego. Czyniła wszystko, by uratować bezcenne życie swego męża, przyjaciela i obrońcy. Ponieważ wiedza nie dawała pomocy, sawantka zwróciła się do wierzeń, którymi pogardzała. Na szyi mu zawiesiła amulety z magicznymi znakami, do poduszki zaszyła pergamin z wypisanym zaklęciem. Perykles umarł

we wrześniu roku 429 przed Chrystusem. Konając, cieszył się, że cała jego działalność polityczna była tego rodzaju, iż nikt z jego przyczyny nie nosił żałoby. Aspazja zamknęła mu oczy, obmyła i namaściła zwłoki, ubrała w białe szaty. Na głowę zmarłego włożyła wieniec, a w usta obola, by miał czym zapłacić przewoźne Charonowi. Trzeciego dnia, o szarym przedświcie, obywatele ateńscy wynieśli mary. Do żałobnego pochodu przyłączyli się po drodze ci wszyscy, którzy czuli, że z tym człowiekiem grzebią wielkość i świetność Aten.

Aspazja została sama. Istnieje w historii podanie, że wyszła powtórnie za mąż, za niejakiego Lysikleśa, który pod jej wpływem stał się jednym z wybitniejszych polityków ateńskich okresu wojny peloponeskiej. A więc byłaby to nowa Andromacha, zatracająca pamięć o swym bohaterze w objęciach pośledniejszego męża. Wszelako pewien szlachetny Niemiec, dr Adolf Schmidt*, starał się ją oczyścić z tej lekkomyślności, wskazując, iż ów Lysikles umarł w niedługi czas po Peryklesie, że zatem owo małżeństwo wydaje się raczej pustą plotką komediopisarzy. Chętnie przyjmujemy to wyjaśnienie i wyobrażamy sobie Aspazję zajęłą po śmierci męża wyłącznie wychowaniem dorastającego syna.

Dom jej był teraz cichy i smutny. Świetne koło przyjaciół rozłamało się na zawsze. Wielu już z nich nie żyło. Pojawiał się tylko wierny Sokrates w towarzystwie młodego ucznia, Ksenofonta, który przyprowadzał niekiedy swoją żonę i nawiązywał rozmowy o małżeństwie, aby je później zużytkować w książce "O gospodarstwie domowym".

Ateny przechodziły okres burzy i gwałtownych wstrząśnień, które zdruzgotały ich potęgę. Syn Aspazji zaczął dobijać się o stanowisko równe temu, jakie zajmował ojciec. Wróżyono mu znaczną przyszłość. Wybrany strategiem, dowodził częścią floty ateńskiej w bitwie morskiej pod Arginuzami. Wrócił zwycięzcą, lecz zamiast słów uznania i wdzięczności -- otrzymał wraz z innymi wodzami akt oskarżenia. Fanatyzm religijny zarzucał strategom zuchwałe niedbalstwo: nie pogrzebali ciał poległych w walce Ateńczyków. W dniu tym sądowi przewodniczył Sokrates. Widząc jawne okrucieństwo, sprzeciwił się wyrokowi, który zapadł dopiero nazajutrz, gdy kto inny objął kierownictwo. Młody Perykles wypił w więzieniu cykutę. Być może, Aspazja już wówczas nie żyła...

NAD CEZAREM

Zdarzało się nieraz czytać i słyszeć namiętne słowa latynistów przeciw poniewieraniu Cezara po szkołach, gdzie każą mu wtajemniczać sztubaków w oratio obliqua, accusativus cum infinitivo i ut consecutivum. Nigdy nie zdołało mnie rozgrzać ich oburzenie. Być może, a nawet z pewnością żaden chłopiec wypisujący "słówka" z Cezara nie zdaje sobie sprawy z jego wielkości, historycznego znaczenia, nie mówiąc już o urodzie stylu, która w tłumaczeniu na pracowitych lekcjach wygląda jak tors antyczny świeżo wydobyty z ładu i szlamu. Nawet sam tekst obrasta dziką, pasożytniczą florą podkreśleń, wpisanych między linijki strzępków przekładu, uwag ostrzegających przed gramatyczną pułapką, realiów, dat.

Przed powstaniem miałem taką pamiątkę z lat gimnazjalnych i dość było rzucić okiem na te karty, by zaczynały dymić wspomnieniami. Jak z rozkołysanego trybularza wysnuwały się zapachy pór roku i godzin. Najpierw pod błękitną wrześniową pogodą, przenikającą w okna sali gimnazjalnej przez korony drzew, gdzie na gałązkach widziało się w pękniętych kolczastych łupinach dojrzałe kasztany, które na pewno spadną na głównej przerwie, odezwały się nieśmiałym głosem mojego przyjaciela i towarzysza ławy słowa: "Gallia est omnis divisa in partes tres..."*

Syn biednego chłopca, od dzieciństwa przeznaczony na księdza, celował we wszystkich przedmiotach, ale do łaciny odnosił się z nabożeństwem, i utarł się zwyczaj już od pierwszej klasy, że on, jakeśmy mówili, "intonował" nowe wypisy i nowych autorów. Tym samym łagodnym tonem, w którym już jakby się przeczuwało: "Dominus yo- biscum", obwieścił nam kiedyś w zamierzchłej dobie pierwszego srebrnego paska: "Terra est rotunda" i tak samo błogosławił teraz naszą niespokojną ciszę nieśmiertelnym siedmiosłowem. Lecz został zagłuszony szumem i trzaskiem mapy, którą profesor rozwinął z wałka i zawiesił na tablicy.

i "Cała Galia dzieli się na trzy części"

Była to Galia, ta sama, którą w zmniejszeniu miałem w rozłożonym na ławce atlasie historycznym. Posługując się ślicznym ołówkiem, czarnym z czerwoną główką -- profesor wielkimi łukami wydzielał terytoria Belgów, Akwitaniów i Gallów przy akompaniamencie małego Grzegorza, który wyprowadzał z książki zwarte szeregi łacińskich słów, nieprzystępne jak acies triplex legionów rzymskich. Czarny ołówek z czerwoną główką jak diabełek uwijał się po mapie za biegiem Mastry, Sekwany, Garumny i szerokim kołem obleciał Ocean. Nikt nic nie rozumiał. Profesor zadał na jutro trzy pierwsze zdania -- słówka i gramatyka -- po czym dzwon szkolny nas rozłączył. Pamiętam otwarty trójkącik, którym zakreśliłem to miejsce po słowach: "...bellum gerunt" -- ostry ślad złamanego ołówka.

Nikt z nas chyba, nikt, jak nas było ze trzy tuziny w IV-a, nie przejmował się historią, która narastała wśród słówek, zwrotów, w zapasach z conjunctionami, w przepaściach mowy zależnej, gdzie na zdradliwym se nawet mój miły niezawodny Grzegorz mógł się pośliznąć; nikt nie rozróżniał Dumnoriksa od Diwicjaka, Heduów od Helwetów, nikt po godzinie nie pamiętał Tigurinów, Suebów i Allobrogów. Z rozwieszanych po sali tablic patrzyli na nas idealni przedstawiciele wojskowości rzymskiej -- imperator, legat, tribunus militum, centurion, żołnierze legionów i wojsk posiłkowych -- każdy w odznakach swojego stopnia, w pełnym rynsztunku, malowany pedantyczną niemiecką sztuką. Tak niedawno wyrosliśmy z ołowianych żołnierzy, że poświęcając tym wizerunkom chwilę zadumy na przerwach, braliśmy ich za dalszy ciąg ich towarzyszy broni z kartonowego pudełka.

Była jednak wielka różnica. Oto bowiem profesor zawsze pod koniec lekcji stał przed tablicami i tym swoim uwodzicielskim ołówkiem zatrzymywał się nad częściami uzbrojenia, wymieniając ich nazwy, te same co w tekście Cezara, albo pokazywał rozkład obozu rzymskiego i fosę najeżoną ostrymi palami i zawsze urywał w połowie zdania pod nawałnicą dzwonu szkolnego, który tuż za drzwiami naszej klasy huczał i szumiał jak burza. Nazywaliśmy to w naszym języku wziętym z Cezara -- "vasa conclamare": jeśli powiem, że znaczy to "dać hasło do zwijania obozu", przyćmię całą wesołość obrazu, ponieważ nasze "vasa" to były kałamarze i piórniki.

Łacińskie słowa i zwroty wsiąkały w nas jak odrębny zapach. Nawet Górski trącił Cezarem. Gdyby był trochę wyższy, siedziałby w ostatniej ławce, do której przeznaczala go niedola "repetenta" i tak doskonała niewiedza, że nawet szóstka dryblasów, będących naszą tylną strażą, czyli "novissimum agmen", musiała uchylać przed nią czoła. Bielak, Rapak, Galas, Wajda, Sowa, Szwec -- ten orszak trochejów złamany ostatnim jambem skandował każdy z profesorów w różnorodnych odcieniach gniewu i pogardy, gdy albo chciał wstrząsnąć naszym sumieniem, albo całą tę bandę wyrzucić za drzwi. Górski stępiął

ten ostry rytm, dlatego profesorowie ociągali się i wahali, czy go położyć przed jambem Szweca, czy jego trochejem otworzyć jakby nowy wiersz -- złowrogą zapowiedź następnych potępieńców. To niezdecydowanie utrzymywało go na granicy zła i dobra, jakby w czyścicu, z którego mógłby się wybawić.

Marszcząc fałdziste, niskie czoło i trąc wolną dłońią brzeg ławki, który już wygładził do- połysku, Górski trzymał w lewej ręce książkę, wpatrywał się w nią i milczał. Profesor niecierpliwił się, złościł, to znów łagodniał, przemawiał doń niemal pieszczotliwie, aż w końcu rozpaczliwym krzykiem kazał mu siadać. Górski znał, pamiętał i wśród nas spopularyzował dwa słowa: "terga vertere" -- podać tył. To jedno niepojętym trafem przylgnęło do jego głowy pokrytej cienkim żółtym włosiem, który naszemu przyrodnikowi przypominał złotawe nitki pursiczanu.

Nasz łacinnik nieraz opuszczał lekcję, na zastępstwo .zjawiali się rozmaici profesorowie, swoi i obcy, lecz nikt z nich nie troszczył się o Cezara: albo przerabiali z nami coś ze swojego przedmiotu, albo kazali czytać wypisy polskie. Raz zjawił się dyrektor Śmiałek. Mały, drobny, o głosie cichym i łagodnym, krótkowidz (przypuszczaliśmy, że nie widzi nic poza pierwszą ławką), przeznaczony był na ofiarę drwiącej i okrutnej młodości, a jednak ujarzmił nas w tajemniczy sposób. Jego szept był groźniejszy od najbardziej złowieszczego krzyku. Siedzieliśmy więc cicho i skromnie, a on wywołał któregoś z nas, bez słowa, miękkim ruchem swej krótkiej ręki, i kazał mu czytać. Zdanie miało nie więcej niż dziesięć słów. Jak się okazało, na ich objaśnienie godzina nie wystarczała.

Z książką przy oczach wpatrywał się w te słowa jak wróbel w garść ziaren, chwycił je po kolei, stukał w nie dziobem, rozbijał i odfruwiał, jakby o wszystkim zapomniał. Rozbite słowa ukazywały miąższ życia: "cohors", wróciwszy do swoich sielskich początków, stała się zagrodą dla bydła, a "manipulus" -- wiązką siana, zapachniało żywicznym dymem łacińskiej wsi z czasów, kiedy ród Juliuszów chodził za pługiem. Tak doszedł do wyrazu "provincia" i już przy nim pozostał. Posłyszeliśmy, że rzymska prowincja żyje nadal w nazwie Provence, i zanim mogliśmy zdać sobie sprawę, mały, śmieszny staruszek oderwał nas od ławek pokąsanych sczorykiem, wyprowadził na pola, gdzie zamiast zbóż rosną kwiaty, na wzgórze, gdzie dojrzewają winogrona, w szary cień gajów oliwnych, do miast, których imiona i kamienie pamiętają rzymskie imperium, nad morze. Pod jakimś garbatym murem okalającym winnicę spotkał starca z siwą brodą i ogorzałą twarzą pod czarnym, szerokim kapeluszem i po raz pierwszy w swoim istnieniu żółte ściany naszej klasy posłyszały nazwisko Mistrała.

Liście żółkły, potem opadały, między okna nasypał tercjan piasku aby nie wiało, przy rozpalonym piecu parowały nasze zmokłe płaszcze

rozwieszane na szaragach, przyszedł śnieg z uciechą białych kuł i bałwanów. Do dziś pewne stronice skrzą mi się w oczach igiełkami mrozu albo pachną lampą naftową, przy której się nad nimi trudziłem. I potem znów dalsze oddychają odwilżą, pierwiosnkami, wielkanocnym hiacyntem, młodą zielenią, deszczem wiosennym, bzami. W upalny czerwcowy dzień na ostatniej lekcji łaciny zdążyliśmy jeszcze dostrzec, jak Ariovistus po kryjomu odczepia łódkę, aby uciec na drugą stronę Renu. Żaden z moich kolegów nigdy się nie dowiedział, jakie były dalsze losy wodza Germanów.

Ja zaś spotkałem go w kilka lat później. Był to czas wojny; uniwersytet, w którym spędziłem poprzedni rok, stał zamknięty, z biblioteki nie wydawano książek. Mogłem korzystać tylko z własnych. I wtedy wychylił się z jakiegoś kąta stary szkolny Cezar w zniszczonej i poplamionej okładce, o spracowanych kartkach pierwszej księgi i nie tkniętych, schludnych sześciu następnych. Oglądałem go ze wzruszeniem. Teraz w parę godzin przeczytałem to, co zabrało nam trzy pory roku, a byłbym przeczytał jeszcze prędkiej, gdyby mnie nie zatrzymywał cień chłopca snujący się wśród wierszy zabazgranych ołówkiem i atramentem.

Po cóż ukrywać? -- to on rzucał czar na tę książkę. Śledziłem między wierszami wątlą figurkę w ciemnoszarych spodniach z odstającymi kieszeniami pełnymi kasztanów, starych kluczy, zasuwek, pudełek i sznurków, w granatowej bluzie, na której kołnierzu cztery paski błyszczą najpierw jak srebrne ozdoby na choinkę, a pod koniec roku strzępiły się i rudziały, szukałem jego bladej twarzy o skośnych brwiach pod sztywną czapką, ozdobioną srebrnym "G" w wieńcu laurowym, i widziałem, jak biegnie do szkoły, kopiąc po drodze kamyki albo podrzucając w górę paczkę książek i zeszytów związanych rzemykiem. Na okładce Cezara zostało wgłębienie od rzemyka, jak na starych progach ślad wyżłobiony nogami, które po nich przeszły, albo u starych studni ślad rąk, które się opierały na ich brzegu. Widzę wargi poruszające się szeptem, który wiatr unosi: w rytm twardych bucików dudniących po kamiennych schodach gimnazjum chłopak skanduje nieregularne czasowniki i z "curro, currere, cucurri, cursum" jak z piosenką łobuza wpada do klasy.

Nie ma powodu narzekać: Cezar więcej zyskał, niż stracił na szkole. Tam bowiem, a nie w rękach filologów, historyków, generałów i polityków jego nieśmiertelność zieleniła się świeżymi laurami. Bez niej jego imię straciłoby wiele ze swojego blasku. Dzień, w którym młodzież przestanie wędrować po nim ze słownikiem i gramatyką, będzie pierwszym z tej epoki lodowej, w jaką wchodzi wszyscy klasycy skazani na ciekawość specjalistów.

Miałem prawo uważać się za specjalistę na wiosnę 1915 roku, kiedy zasiadłem z moim starym Cezarem na tej samej szorstkiej ławce

w ogrodzie Jezuickim, na której jeszcze kilka lat temu targowałem się z kolegą Lewickim o znaczek Hyderabadu ofiarując mu w zamian dwa Przyładki Dobrej Nadziei. Nie było to już wesołe wspomnienie -- leżał na nim cień śmierci. Lewicki padł w pierwszych dniach wojny.

Każdy filolog pamięta ten pierwszy okres swojej dyscypliny, jednocześnie surowy i buńczuczny, kiedy się czyta klasyków z tak namiętą uwagą, jakby się miało zrobić definitywne, krytyczne wydanie, i z taką pogardą dla ustalonych sądów, jakby się miało otworzyć nową erę w poglądach na literaturę antyczną. Byłem właśnie w tym nastroju umysłu. Patrzyłem nieufnie na każde zdanie w wyciężonym oczekiwaniu genialnych koniektur. Nie nadchodziły i moja niecierpliwość płoszyła wróble, które usiłowały zdobyć skórkę chleba leżącą przy mojej nerwowej nodze.

Musiałem się w końcu pozbyć filologicznych skrupułów, ponieważ pamiętam, że zanim słońce dobiegło południa, byłem już przy wyprawie na Brytanię. Pierwszy raz czytałem starożytnego autora tak, jak się czyta zajmującą książkę. Było to odkrycie. Lektura szkolna zasługuje na swoją nazwę tylko w sensie przenośnym, a uniwersytecka jest "studiowaniem", czyli bardziej wyrafinowaną formą unikania żywego kontaktu z dziełem. Tu zaś, na tej samej ławce, na której poznałem France'a, Dickensa i Woltera -- tak się dziwnie złożyło -- słuchałem, jak Cezar trzeźwo i beznamiętnie opowiada o swoich wojnach i podbojach.

Trzeźwo i beznamiętnie -- ten ton jego relacji pochwyliło przede wszystkim ucho ogłuszone komunikatami wojennymi. Europa moich lat szkolnych odwykła od biuletynów kwatery głównej. Spotykało się je tylko na godzinach historii, już omszałe i poprawione przez odkryte później fakty. Teraz posłyszeliśmy ten dziwny język, jego zwroty wnikały w pamięć i w mowę potoczną razem ze śmiechem. Zawsze bowiem nieprzyjaciel się cofał albo był w rozsypce, zawsze ponosił ciężkie straty albo walczył rozpaczliwie, i tylko nazwy miejscowości, wtrącone niedbale, a wybuchające nagle jak petarda, alarmowały nas o zmienionej do niepoznania sytuacji na froncie. Jednocześnie setki najemnych piór odbierały przeciwnikowi wszelką wartość ludzką, odpychały go od ofiarności, bohaterstwa, uczciwości, w jego kraju odsłaniały zamęt, nędzę i głód, nawet targały się na geografię, obniżając jego góry, wysuszając rzeki, pustosząc lasy i pola.

Cezar, czytany po świeżo odrzuconej gazecie, był głosem z innego świata. Lecz tylko głosem, faktami był z naszym związany jak najokrutniej. Niezrównany ład jego prozy nie mógł przesłonić obrazów rzezi, pożogi, grabieży, zniszczenia, nawet je czynił bardziej przejmującymi. Widziało się, jak ziemia ocieka krwią, ta sama ziemia, którą deptała wojna 1914 roku. Z komunikatów odzywały się te same rzeki, góry, osady, które, przeżywszy swoje drewniane domy i strzechy,

zmieniły się w miasta kamienne. Ariovistus, którego w daleki czerwcowy ranek na ostatniej godzinie łaciny zostawiłem przy czólnie kołyszącym się na wodach Renu, wylądował na brzegu XX wieku z ostro w górę podkręconymi wąsami Wilhelma II.

I jeszcze raz zmienił charakteryzację. Przystrzygł wąsik, na czoło spuścił lok. Był to Jedermann -- Ktoś -- ze starego moralitetu albo raczej przechodzień z nedorzecznej sztuki. Zaczynało się bowiem jak komedia: miernota z ulicy wchodziła na scenę, wkładała na siebie insygnia najwyższej władzy, krzyczała, panoszyła się, oczekiwano się, że w następnym akcie przechodzień-niecnota zostanie zdemaskowany albo że nastąpi nowa wersja nie "Rewizora", bo to za dobre, ale "Kapitana z Koepenick", tymczasem dalszy ciąg stał się tworem ponurego i zwyrodniałego grafomana, który z tej figury uczynił jedno z najkrwawszych widm w historii.

Rzucalo ono swój cień na mojego Cezara, którego wezwałem na pomoc w jakąś głuchą godzinę, kiedy człowiek nie potrafi już myśleć własnymi myślami. Ale nawet czytanie było za trudne. Któż nie pamięta, jak w tych czasach uwaga załamywała się już na pierwszych wierszach stronicy? Litery porastały dzikim zielskiem obrazów i przywidzeń. Czytanie więc było za trudne, mogłem natomiast tłumaczyć, ponieważ wtedy posuwałem się od słowa do słowa, porałem się z każdym zdaniem, znajdowałem ulgę w samej czynności pisania. Były to "Pamiętniki o wojnie domowej", których albo zupełnie nie znałem, albo przemknąłem po nich kiedyś z takim roztargnieniem, że pozostały dla mnie rzeczą nową. Tłumacząc byłem zawsze ciekaw, co dalej nastąpi, i ostatnią nienajmniejszą niespodzianką było zdanie niedalekie od końca książki: "Pompejusz dał się nakłonić do opuszczenia okrętu i wszedł do małej łodzi z nielicznym orszakiem: tam został zabity przez Achillasa i Septimiusza."

Ani słowa więcej. W całej literaturze świata nie znajdzie się autora zdolnego do tak okrutnej zwięzłości. Któż by potrafił rozstać się bez pożegnania z bohaterem walki, która wypełniła trzy księgi burzliwej opowieści? Któż by sobie poskąpił choćby paru szczegółów tej nędznej śmierci? Plutarch, Appian, Dionizjusz mają ich pod dostatkiem. Jakże można zamknąć swą wyobraźnię przed patetycznym faktem, że Pompejusz padł na dno mizernej szalupy w tym samym dniu 29 września, w którym przed trzynastu laty w płaszczu Aleksandra Wielkiego odbywał w Rzymie triumf po swoich zwycięstwach w Azji? Cezar nie uczcił ćmi jednym słowem wodza, który przysporzył tyle sławy orłom rzymskim, ani polityka, z którym się tyle razy sprzymierzał, ani człowieka, z którym go łączyły związki rodzinne. Tym szybkim zdaniem przekroczył trupa na swojej drodze, nie oglądając się za siebie, jakby nie warto było tracić ani jednego spojrzenia.

Wszyscy historycy mieli mu to za złe, choćby z tej przyczyny, że

każdy czuł w sobie powołanie do uzupełnienia piękną stroną tej surowej zapiski. Lecz Cezar nie był retorem i nikt nie może się równać z jego taktem literackim. Wszelka deklamacja w tym momencie byłaby niesmaczna. Nawet największe pochwały zmarłego brzmiałyby jak triumfalny hejnał nad powalonym wrogiem. Można to wiedzieć dzięki Cezarowi, ale nie widzę innego pisarza, który by to zdołał sam odkryć.

"Bellum civile" jest książką polityczną, nie wolną od przywar swojego gatunku: zamiast rzeczywistych obaw, uraz, ambicji przedstawia wzniosłe intencje. Cezar jest pokrzywdzony, broni konstytucji, działa w interesie państwa zagrożonego przez przewrotne stronnictwo. Lecz zarazem góruje nad tego rodzaju publikacjami powściągliwością, umiarem i taktem. W stosunku do przeciwników pozwoli sobie na lekką ironię albo na dyskretną uszczypliwość, nigdy ich nie poniewiera, poniża. Nie ma w jego słowniku ani obelg, ani potwarzy. Zarówno gdy walczy, jak i wtedy gdy zwycięża, nie ujmuje godności osobistej przeciwnikom. Nic nie stoi na przeszkodzie, by jutro mógł zasiąść z nimi przy jednym stole, jeśliby znikły powody nieporozumień. I wiemy, że w wielu wypadkach tak się rzeczywiście stało, bez wątpienia i dzięki temu, że po bitwie pod Farsalos kazał spalić archiwum Pómpejusza, aby mu nie przyszła ochota grzebać się w nim i szukać materiałów do zemsty. A biedny Cynceron tak się martwił Cynceron za mało znał Cezara, pozostałby dla Cezara zawsze znakomitym pisarzem, godnym szacunku, przyjaźni i opieki, choćby nawet zajął jeszcze bardziej wrogie stanowisko niż to, na które mógł się zdobyć wśród swoich wahań i wątpliwości.

Wiele rozmyślałem nad wzajemnym stosunkiem tych dwóch wielkich ludzi tak do siebie niepodobnych. Lecz tłumacząc Cezara myślałem częściej o dwóch pisarzach niż o dwóch mężach stanu. Co jest najbardziej godne podziwu w prozie Cezara i co stanowi o jego randze pisarskiej, to całkowita odrębność od Cyncerona. Było to w tej epoce bodaj trudniejsze od podboju Galii. Oprzeć się urokowi prozy cyncerońskiej, pisać nieomal tak, jakby jej wcale nie było, na to w istocie trzeba być Cezarem. Nikt lepiej tego nie ocenił od samego Cyncerona. Oto, co mówi o prozie Cezara: "Naga, prosta i pełna wdzięku, bez wszelkich ozdób krasomówczych, jakby się pozbyła ubrania. Cezar zachowuje się tak, jakby tylko innym chciał dać materiał do napisania historii, ale chyba głupiec da się na to złapać i zabierze się do fryzowania jego stylu -- ludzi rozumnych może on raczej odstraszyć, ponieważ w historii nie ma wyższych zalet nad prostotę i zwięzłość'.

Każda praca wykonana pod okupacją ma swoją historię związaną z klęskami tego okresu. Nie miałem oczywiście wstępu do bibliotek i korzystałem z uczynności dyrektora Adama Lewaka, który mi po kryjomu przynosił, co mogło mi być potrzebne. Te spotkania przemytnicze, odbywające się w jego domu pod popiersiem T. T. Jeża,

który niejedną kontrabandę widywał za życia, należą do rzadkich z tego czasu dobrych wspomnień. Tak samo jak wizyty w warszawskim oddziale Ossolineum, gdzie składałem poszczególne części przekładu i gdzie rozmowa wydawnicza, choć złożona z samych futurów i con- iunctiwów, wracała człowiekowi wigor, jak starej szkapie wojskowej zapach prochu.

Lecz mój rękopis, tak jak dziesiątki tysięcy innych, starych i nowych, poszedł z dymem w ostatnich dniach Warszawy. Przypadkiem ocalał mi brulion III księgi, w moich oczach bez przyszłości. Nie zamierzałem już wracać do Cezara, miałem pilniejsze zajęcia. Dopiero po kilku latach, ulegając namowom i zachętom, uzupełniłem na nowo spalone części, i dziś "Wojna domowa", gotowa do druku, leży na biurku pod wielką reprodukcją popiersia Cezara, która czeka na skliszowanie. Jednym rógiem ta fotografia opiera się o wiszącą na ścianie mapę starożytnej Italii, piękny zabytek XVII w., i traf, jak przesadny reżyser, tak ów róg wycelował, że dotyka nikłego wężyka, którym się wiję Rubikon.

Ilekoć oderwę wzrok od zeszytu, w którym piszę, spotykam tę twarz o policzkach zapadniętych w głębokie bruzdy, z cienką linią zamkniętych ust, o wydatnej wardze dolnej, z orlim nosem i wspaniale sklepionym, wysokim czołem, twarz w brzasku subtelnego uśmiechu. Nie sądzę, by ta głowa została wykuta za życia imperatora. Źrenice, których zarys artysta wyciął w kamieniu, patrzą już ponad ldy Marcowe.

"Szkice"

LEONARDO DA VINCI

Na dźwięk tego imienia otacza mnie rój wspomnień, przeżyć, rozmyślań i widzę, że niewiele jest postaci w dziejach, które by tak często mnie nawiedzały. Leonardo wszedł w moją świadomość bardzo wcześnie, bo w pacholęcych latach, co prawda boczną furtką, dobrą dla włamywaczy. Była to w istocie historia włamania -- głośna kradzież "Mony Lisy". Na te spokojne czasy spadła ona z wielkim hałasem i mówiło się o niej bez końca.

Pewnego dnia posłyszałem sarkastyczny śmiech:

-- Co tu za harmider zrobił ten mydlarz!

Powiedział to człowiek, którego sam wygląd powinien był wzbudzać szacunek, nie mówiąc już o nieśmiertelnych dziełach, jakie albo już stworzył i tylko trzymał w ukryciu, albo miał stworzyć lada dzień -- jeden z owych malowniczych typów o długich włosach i czarnym fantazyjnym krawacie, w czarnym kapeluszu o szerokich krysach, udrapowany w pelerynę, posiwiął od kurzu z dróg i rozdroży burzliwego żywota. Ten artysta najwyższych regionów pożerał na surowo Rembrandta i Michała Anioła z Rafaelem na zakąskę. Nie ma już dziś takich żalobnych trefnisiów w świecie sztuki.

Ale i wtedy na próżno starał się on popsuć reputację "Giocondzie." Z pism ilustrowanych, z wystaw księgarskich wschodziła nad nami, okradziona ze swego przepychu w tanich reprodukcjach, ale niemniej uwodzicielska i tajemnicza. Jan Kasprówicz poświęcił jej wiersz, który Bonawentura Graczyński przełożył na język starogreckich elegików. Były to dwa poniki, które z naszego miasta popłynęły ku wielkiemu strumieniowi poezji. O tym obrazie napisano wierszem i prozą więcej niż o jakimkolwiek innym. A najwięcej chyba o uśmiechu Giocondy.

Ten dziwny uśmiech rozświeca również inne twarze Lionarda, a dla mnie kojarzy się zawsze z tzw. archaicznym uśmiechem wczesnej rzeźby greckiej, tak samo niepokojący i niewytłumaczony. Przecież w egineckich rzeźbach uśmiechają się jednako dwaj walczący wojownicy -- i ten, co cios wymierza, i ten, co od niego pada. Nie znamy drogi, którą ten uśmiech dotarł zarówno do mistrzów katedry w Char

tres, jak i do Lionarda. Są natomiast pewne wskazówki, że ideał kobiecy -- przedstawiony w "Monie Lisie" żył w wyobraźni Lionarda od wczesnych lat, świadczy o tym album jego rysunków, który był ongi w posiadaniu Vasariego i w którym były też pewne rysunki Lionardo- wego mistrza, Verocchia: twarze kobiece dziwnej urody. Te właśnie młodziutki Lionardo nieustannie i pilnie kopiował.

Wiarogodna historia nas upewnia, że "Mona Lisa" jest portretem żony obywatela florenckiego, Francesca di Giocondo. Jest to jednak ta sama czcza prawda, jaką podają dokumenty stwierdzające rzeczywiste istnienie Beatryczy Dantego. Obie postacie żyły swoim życiem ziemskim, lecz było ono zupełnie niepodobne do niebiańskiego bytu, jaki dla jednej stworzył poeta, dla drugiej malarz. I jak Beatrycze staje się w końcu przewodniczką po tajemnicach wszechświata, tak Gioconda otrzymuje za tło symboliczne wyobrażenie czterech pierwiastków: ziemi w architekturze skał, powietrza, wody w bijących kaskadach i ognia jako źródła światła, tego światła, które w obrazie pulsuje w każdym przedmiocie, a którego nigdzie złowić nie można.

Tym czterem pierwiastkom, które w kosmogonii XV wieku oznaczały całą przyrodę, poświęcił Lionardo swoją sztukę i swoją wiedzę. Nie było żadnej różnicy między tymi dwiema czynnościami jego ducha: jako artysta nie przestawał być badaczem, a w swoich badaniach był nadal artystą. O tym najwymowniej świadczą jego rękopisy.

Przez czterysta lat wędrowały one z rąk do rąk, po różnych miastach i krajach, groziły im tysiące niebezpieczeństw, sporo zginęło, ale większość -- pięć tysięcy stron -- ocalała czy to w mediolańskiej Ambrosianie, czy w Paryżu, czy w Oksfordzie. Kto miał sposobność pochylić się nad tymi kartami, gdzie atrament sprzed pięciu wieków ma barwę zblakłej krwi, komu było dane odwracać je i słyszeć ich cierpki szelest, czyj wzrok wikłał się w gęstwinie tych liter, nie dających się odczytać inaczej, jak z pomocą lustra, gdyż Lionardo pisał od prawej ku lewej odwracając litery -- ten nigdy nie zapomni obcowania z tą drogocenną relikwią ducha ludzkiego.

Na każdej prawie stronie z pismem wiąże się rysunek; można odgadnąć, kiedy z ostatnim zawijasem litery ręka odsuwała się nagle ku pustej przestrzeni i pokrywała ją rysunkiem, arcydziełem obserwacji, precyzji, wyrazu. Cokolwiek to będzie: kwiat czy architektura, twarz ludzka czy maszyna, rysunek zawierać będzie sumę doświadczenia i myśli. Każdy przedmiot Lionardo rozbiera na części składowe, szuka związków między nimi, dochodzi praw, jakie rządzą tym systemem. Nigdy nie przymyka oczu, by się oddać kontemplacji w jakiejś pustce oderwanej od widzialnego świata. Patrzy, opisuje, rysuje. Doświadczenie jest dla niego najwyższą szkołą, co go tak wyróżnia w tej epoce cytatów, jedynym dlań materiałem jest rzeczywistość, jedynym celem

poznanie. Na jego obrazy można patrzeć jak na traktaty o świecie i człowieku.

Tylko raz jeden widziałem jego "Ostatnią Wieczerzą". Było to w tym samym dniu, bardzo już dziś odległym, kiedy w mediolańskiej Am- brozianie miałem szczęśliwą sposobność oglądać jego rękopisy. Nic nie zdoła zatrzeć w pamięci przesmutnego refektarza S-ty Maria delie Grazie, na którego ścianie dogorywa "Ostatnia Wieczerza", żarta wilgocią i zniekształcona przemalowaniami. Łatwo mogło się zdarzyć, że należałbym do tej epoki, która ostatnia pamiętałaby to dzieło. Oto bowiem bomby w niedawnej wojnie obróciły cały klasztor w ruinę, tylko ściana z freskiem Lionarda cudem ocalała. Zręczni, umiejętni restauratorzy posługując się subtelnymi środkami dzisiejszej techniki wrócili podobno dziełu Lionarda połowę blasku, jaki ono utraciło przez jego własną winę, nielitościwy czas i bardziej nielitościwą niedbałość staroświeckich konserwatorów.

Nigdy nie mogłem pojąć zachowania się tego mędrca przy największym ze swoich dzieł. Lionardo przygotował mur tak, jak to czyni freskista, ale następnie nałożył nowy podkład, stosowny do malowideł olejnych, i malował na ścianie olejnymi farbami, czego nikt przedtem nie czynił. W dodatku zaniedbał wziąć pod uwagę lub zlekceważył fakt, że ta ściana refektarza sąsiadowała z kuchnią i była narażona na parę wodną i wilgoć od bliskiego wodociągu. Był to więc szereg zuchwałych eksperymentów. Któż jednak powierza swe dzieło eksperymentowi,, za którym nie stoi próba czasu? A jednak uczynił to umysł badawczy, o którym świadczą jego rękopisy, że żadnego problemu nie pozostawiał bez szczegółowego rozważenia.

Rękopisy Lionarda są pamiętnikiem jego myśli. Są tam i notatki z życia, nawet rachunki domowe, czasem jakiś fakt czy to tak osobisty jak śmierć ojca -- zadziwiająco oschła notatka -- czy ogólny, a przyjęty z radością, np. "Roger Bacon wyszedł drukiem" -- braterskie powitanie takiego samego jak on badacza, pogrążonego w samotności, walczącego z epoką, która go więziła swą ignorancją i ciasnotą. Czasem słyszy się monolog, rozważanie lub wykład jakichś prawd, zdobytych własnym trudem, kilka zdań skierowanych jakby do własnej myśli. Raz odzywa się z poźółkłej karty przejmujący głos: "Czemu się tak dręczysz, o Lionardo?"

Rękopisy dają na to odpowiedź. Kryją się w nich odkrycia i wynalazki, zdolne posunąć interpretację świata i opanowanie przyrody o kilka wieków naprzód. Nikt jak on nie studiował wówczas anatomii, krając trupy, co było zabronione, a dwieście lat miało upłynąć, zanim wiedza o człowieku dorównała doskonałości jego rysunków anatomicznych. Psychologia zaś aż do naszych czasów nie była przygotowana na ten traktat o uczuciach, mimice i gestach ludzkich, który leży rozproszony w setkach zdumiewających rysunków. Wśród nich osobną

galerią ciągną się fantastyczne karykatury, brane z początku za fizjo- gnomie rzeczywistych ludzi, znajomych czy przechodniów, a będące w istocie kaprysem pióra wydobywającego linearne konsekwencje z układu oczu, uszu, nosa, szczęk, zmarszczek, dziwne hipotezy o stosunku twarzy do charakteru człowieka, wędrówki wśród takiej fauny ludzkiej, jaką spotykamy w trzy wieki później u Lavatera.

Dopiero po czterystu latach maszyna do latania, której skrzydła zbudowano według rysunku Lionarda, odbiła się od ziemi, znalazła oparcie w powietrzu i uniosła się w górę na sto metrów. Ileż jego wynalazków można opatrzyć tym samym komentarzem! Jest wśród nich czołg i łódź podwodna, o której mówi Lionardo, że nikomu jej nie zdradzi, bo "zła natura ludzka gotowa się nią postłużyć do zatapiania okrętów". Jest tam winda, maszyna do fabrykacji igieł, maszyna tkacka, która mogła o dwa wieki wcześniej wywołać rewolucję przemysłową, jaką znamy z historii Anglii, jest camera obscura, teleskop, a pośród różnych automatów, nieraz dziecinnych igraszek niestrudzonego umysłu, są obliczenia dotyczące siły pary wodnej.

Jego obserwacje i myśli z zakresu fizyki czy geologii nie mają nic wspólnego z wiedzą jego czasów i jeśli mu się w tej materii wymknęło jakieś zdanie, było przyjmowane z niepokojem lub uśmiechem. Nie inaczej słuchano jego projektów, które przedstawiał książętom i które patrzą dziś na nas z jego rękopisów. Są tam domy, które można przenosić z miejsca na miejsce, złożone z części osobnych i jakbyśmy dziś powiedzieli "prefabrykowanych", są zachwycające ogrody, fontanny, teatry na wolnym powietrzu, są niezwykle plany miast z tunelami dla ruchu kołowego, kanałów łączących rzeki, plany osuszania bagien i jeszcze rozleglejsze w zakresie przebudowy przyrody, a tak nieraz opracowane, jakby jutro miało im przynieść realizację.

Tymczasem nie miał ich komu powierzyć. Przerastał swój Wiek tak bardzo, jakby żył w kraju Liliputów: ani Florencja Medyceuszów, ani Mediolan Sforzów, ani Cezar Borgia, ani nawet król francuski nie byli na miarę tego popędzania leniwej, ociągającej się przyszłości, którą on mógł każdej chwili przyśpieszyć. Ci władcy byli po prostu hałaśliwymi awanturnikami lilipuciej historii zatargów, kłótni, zawiści, zdolnymi najwyżej zamówić u niego obraz lub posąg, a z jego wynalazków wybrać sztucznego lwa, który otwierał paszczę i buchał ogniem na książęcych festynach. Piętnasty wiek nie był przygotowany na tego człowieka, który jak geniusz postępu ponad jego zamęt zmierzał w przyszłość, samotny.

Fakt, że ani jego odkrycia naukowe, ani wynalazki techniczne nie zostały i nie mogły być zrealizowane w tej epoce, jest klęską w rozwoju ludzkości, ale nie osłabia blasku jego geniuszu, którego światło dotarło do nas tak późno jak z bardzo odległej gwiazdy. Znamy go dziś stokroć lepiej, niż znali go współcześni, bo nikomu tak by się

nie zwierzał, nikomu nie pozwoliłby grzebać w swych tajemniczych papierach, i rozumiemy go tak, jak nikt wówczas nie mógł go rozumieć. Jeśli to nie wyjątkowy, to arcyzadki wypadek w dziejach myśli ludzkiej.

Ktoś ze współczesnych zapisał następujące zdarzenie: "Lionardo był pięknym mężczyzną, a jego zachowanie było ujmujące i wytworne. Pewnego dnia przechadzał się po ulicach Florencji w towarzystwie przyjaciela. Miał na sobie różową tunikę sięgającą do kolan, na piersi spływała pięknie trefiona i starannie utrzymana broda.' W pobliżu Sw. Trójcy kilku obywateli rozmawiało dyskutując nad pewnym ustępem z Dantego. Przywołali Lionarda i prosili, żeby im to miejsce wyjaśnił. W tej chwili przechodził Michał Anioł. Lionardo odezwał się: «Michał Anioł wam najlepiej te wiersze wytłumaczy.' Michał Anioł wziął to za drwiny i cierpko odparł: «Sam im wytłumacz, ty, który zrobiłeś model konia, a nie potrafiłeś go odlać w brązie.* Odwrócił się i odszedł. Lionardo poczerwieniał i stał milcząc. A tamten jeszcze się wrócił i dodał: «I te półgłówki mediolańskie myślały, że jesteś zdolny do takiej roboty!»"

Gdyby to riie była współczesna zapiska, której oryginał się zachował, której papier można zbadać i wskazać, kiedy i gdzie był kupiony, można by ją wziąć za pomysł pisarza z polotem i z wyobraźnią zapłodnioną przez erudycję. Trudno o treściwszy i bardziej plastyczny obraz piętnastowiecznej Florencji. Oto obywatele rozmawiają na ulicy, dyskutują nad Dantem, który jest chlubą, ukochaniem i namiętnością tego miasta, które gdy żył, wyгнаło go i chciało spalić na stosie, a po śmierci nie schodzi on z jego ulic, bo one po dziś dzień przemawiają do nas jego wierszami rżniętymi w marmurze na rogach. I gdy tak rozmawiają, nadchodzą dwaj geniusze i wybucha między nimi jedna z tych dramatycznych kłótni renesansowych, jakie przeciągają burzą w pamiętnikach tej epoki.

Był to czas, kiedy we Florencji łatwiej było spotkać geniusza niż zupełnego głupca. Co ulica, co dom, mieszkała jakaś postać niepospolita -- malarz czy rzeźbiarz, filozof czy uczoney, księga adresowa ówczesnej Florencji, gdyby ją ułożyć, brzmiałaby jak leksykon wielkich imion. Takie było miasto rodzinne Lionarda, położone wśród miękkich wzgórz, pod fiołkowym niebem, wśród ciemnych cyprysów i srebrzystych oliwek, miasto kościołów, wykładanych różnokolorowymi marmurami, i pałaców surowych, twardych i obronnych jak twierdze, miasto gwałtownych namiętności, gorączkowe i dumne, zamieszkałe przez ludzi niecierpliwych, o bystrej inteligencji i ostrym języku, którzy się nawzajem śledzili, zwalczali, wiecznie skłóćeni, zawistni, dziś wyuzdani, jutro w głębokiej pokucie -- piąty żywioł, jak ich nazywał Bonifacy VIII.

Lionardo nie urodził się w samej Florencji, przyszedł na świat w nie

dalekiej od miasta wiosce Vinci, należącej do niejakiego ser Antonia, człowieka zamożnego i spokojnego, sybaryty, patrzącego na życie z niezmaconą pogodą. On to w swym raptularzu zapisał: "Urodził mi się wnuk, dziecko ser Pietra, mojego syna. Przyszedł na świat o trzeciej godzinie nocy 15 kwietnia 1452 roku." Ów lekkomyślny ser Piętro, który uwiódł ładną dziewczynę wiejską, był notariuszem i stać go było, żeby zapewnić nieślubnemu synowi staranne wychowanie. I jego to widzimy, jak z ręką małego Lionarda w swej dłoni wprowadza wiejskiego dzikusa w ulice renesansowej Florencji.

Zdaje mi się, że sam dźwięk tych słów: renesansowa Florencja -- ma zdolność wywoływania obrazów pełnych blasku i barw. Jest to pełnia Quattrocenta. Odeszły już stare bożyszcza: Dante, Boccaccio, Giotto, ich miejsca zajęło nowe, bujne pokolenie, pod pędzlem Masaccio, Piero della Francesca wizja świata stroi się w nową świetność. Jeszcze chwila, a nowa sztuka okryje miasto taką chwałą, że widać będzie tylko wir uroczych postaci, kobiet i mężczyzn w pysznych kostiumach, jakiś nieustający bal, nad którym szerokousta botticellowska Wiosna rozsypuje kwiaty, a o mury wąskich ulic objija się piosenka Wawrzyńca Medyceusza: "Quant e bella giovinezza..."

I Lionardo ją śpiewał swym pięknym głosem, tak jak śpiewał własne melodie i piosenki, które improwizował już w pacholęcych latach, gdy ojciec wprowadzał go do pracowni sławnego Verocchia. W wielkim twórcy "Colleonego" i "Dawida" znalazł Lionardo mistrza i przyjaciela. Spędził u niego cztery lata, mając za kolegów i towarzyszy Botticellego, Perugina, Lorenza di Credi. Można dziś oglądać w Akademii florenckiej obraz Verocchia, gdzie młodzieńki uczeń starego mistrza wymalował aniołka, niepokojący promień w tym zespole barw, świt nowej sztuki i życia artystycznego samego Lionarda, co dało powód do legendarnych powieści o goryczy starego malarza, gdy mu ów młodzik spod rąk orłem wyfrunął.

Szorstkie słowa, którymi w ów dzień Michał Anioł obrzucił Lionarda, odnosiły się do klęski, jaką był pomnik Franciszka Sforzy w Mediolanie. Dziwny Lionardo przyjąwszy zamówienie, o które zresztą sam się starał, swoim zwyczajem zabrał się do studiów -- najpierw koni, bo miał to być konny pomnik księcia, potem metod odlewania brązu. W rękopisach pozostały traktaty w tym przedmiocie, bogate obserwacje i mnóstwo znakomitych rysunków. Do samego pomnika nigdy nie doszło. Jego monumentalny model z gliny stał na placu, póki się nie rozsypał pod pociskami żołnierzy francuskich, którzy go sobie obrali za cel swoich ćwiczeń i zabaw. Właśnie po tej klęsce pięćdziesięcioletni Lionardo wrócił do Florencji. Otaczał go tak namiętny podziw, do jakiego tylko to miasto było zdolne. Tłumy pielgrzymowały do jego pracowni, aby oglądać wiszący tam karton do "Sw. Anny", przypominały się czasy pierwszego entuzjazmu dla sztuki, owe legendarne

dni, gdy całe miasto szło w procesji z "Madonna" Cimabuego. Zresztą ten nastrój był Florencji właściwy w każdej epoce i w pamiątkach Celliniego widzimy takie same tłumy cisnące się do jego "Perseusza". I znów historia możliwa tylko w renesansowej Florencji. Oto ogłoszono konkurs na ozdobienie sali rady i stanęli do pracy dwaj rywale: Lionardo i Michał Anioł, Temat miał być wzięty z wojen florenckich: Michał Anioł wybrał bitwę pod Cascine, a Lionardo bitwę pod Anghiari. Andrzej Cellini, ojciec Benvenuto, budował rusztowanie dla Lionarda, a osiemnastoletni Rafael przypatrywał się pracy mistrza. Nic się z niej nie zachowało.

Wśród gigantycznych twórców renesansu, których bujność i płodność zdumiewa, niekiedy przeraża i staje się niepojęta, Lionardo wygląda raczej na skąpcza. Tak śmiały we wszystkim, tak zuchwały w każdej myśli, drżał przed płótnem i nieraz latami go unikał. Czas uszczuplił 1 ten dobytek czy to zupełną zagładą, czy taką poniewierką, przez jaką przeszła "Ostatnia Wieczerza". Nawet najświetniejsze jego dzieło, "Gioconda", jest dziś przyćmionym odbiciem tego, które tak podziwiali współcześni. Posłuchajmy, co mówi Vasari: "Kto chce wiedzieć, do jakiego stopnia sztuka potrafi naśladować naturę, może się łatwo przekonać studiując tę głowę, w której Lionardo oddał najdrobniejsze szczegóły z największą finezją. Oczy mają ów wilgotny blask, jaki się widzi w życiu, a są okolone różowymi i szarymi odcieniami nienagannej prawdziwości. Rzęsy są wykonane z najwyższą delikatnością, brwi zaś, ich wpojenie w ciało, ich gęstość mniej lub więcej wydatna, ich łuki nie mogły być oddane bardziej naturalnie. Rozcięcie ust i ich krańce, które przez czerwień warg łączą się z karnacją policzków -- to już nie barwy, ale żywe ciało. W zagłębieniu szyi baczny obserwator dostrzegłby pulsowanie arterii..."

A jednak te nieliczne dzieła, jakie po nim zostały, z dodatkiem -- cóż za królewski dodatek! -- tysięcy rysunków, są dostatecznym świadectwem wielkości artysty, a każde z nich tak niezwykle, tak przykuwające, że raz ujrane idzie za nami przez całe życie. "Św. Jan Chrzciciel", młodzieńki, podobny do Bachusa, "Święta Anna Samotrzecia" w swej geometrycznej kompozycji jak ostatni triumf gotyku, "Madonna wśród skał" -- wizja tych obrazów pulsujących nieuchwytnym światłem nigdy nas nie opuszcza. Lecz on sam jest większy od swego dzieła.

Lionardo jest najdoskonalszym wyrazem renesansowego dążenia, które się streszczało w nazwie brzmiącej jak zuchwałe hasło: „l'uomo universale" -- człowiek całkowity, człowiek pełny. Któż bardziej zbliżył się do tego ideału? W renesansie było wielu artystów lub uczonych obejmujących tak różne i dalekie sfery działalności, że odziedziczyliśmy dla nich podziw, jakim cieszyli się u współczesnych. Co więcej, nauka zajmowała się nieraz zagadką tych niewyczerpanych sił, zastanawiała się, skąd je brali, studiowano ich tryb życia, sposób odżywia-

nia itp. Lecz w Lionardzie jest większa doza owej pełności, a nie towarzyszy jej tak powszechna w renesansie zarozumiałość. Lionardo nie byłby zdolny napisać ani jednego zdania z "Pamiętników" Celliniego, uważałby takie przechwałki za wulgarne i godne pogardy. Nie starał się nigdy zadziwiać świata. Wszystko, co czynił, czynił jakby dla siebie: to on sam przede wszystkim chciał wszystkiego doświadczyć i dojść do granic tego, co można poznać. Tuż przed śmiercią powiedział: "Pójdę dalej". A jego wierny przyjaciel Melzi składając do grobu jego zwłoki wyraził przekonanie, że natura nie zdoła drugi raz stworzyć podobnego człowieka.

Zastanawiać się nad tym, czy Lionardo był bardziej artystą czy uczonym, albo martwić się, że nie wybrał jednego lub drugiego, aby w jednym kierunku zwrócić całą moc swego geniuszu, to nie rozumieć człowieka, który czuł się zdolny do podjęcia kilku różnych egzystencji i dla którego nie istniała możliwość ograniczania swych możliwości.

Michelet, urzeczony wspaniałym rysunkiem, w którym Lionardo na schyłku życia przedstawił siebie w postaci starca o łysej czaszce i długiej brodzie proroka, z gorzkim wyrazem ust, dojrzał w nim łacińskiego Fausta i to porównanie bywa aż dotąd powtarzane. To pomyłka. Lionardo nie ma nic z Fausta i nie tylko nie przyszłoby mu na myśl zapisywać swą duszę diabłu za cenę młodości, urozmaiconej kilku dziwacznymi przygodami, ale widzę, jak wzruszyłby ramionami na monolog Fausta pośród ksiąg magicznych i alembików alchemika. On właśnie przyszedł zamknąć epokę Fausta, epokę zaklęć i śwędów, w jego rękopisach są recepty na wody toaletowe, ale nie ma formuły magicznej na wodę młodości, mówi się w nich dużo o kamieniach, świadkach dziejów ziemi, ale nie ma nic o kamieniu filozoficznym.

To był człowiek naszej ery. Zamiast wikłać się w splątania jego brody, trzeba spojrzeć w oczy tego starca -- oczy bystre i wytężone. "Pójdę dalej" -- powiedział w ostatnich chwilach życia. I to czyni go tak bliskim. Podziwiamy go w przewidywaniu, w samotnym przyspieszaniu naszego czasu, w braterskim porozumieniu z przyszłością.

"Szkice"

GUSTAW FLAUBERT

Gustaw Flaubert urodził się 12 grudnia 1821 w Rouen. Ojciec, sławny chirurg, był dyrektorem szpitala miejskiego. Zza muru otaczającego ogród lat dziecińczych Gustawa widziało się prosekatorium i nagie trupy przeznaczone do wykładów anatomii. Dom rodzinny był raczej surowy, doktor Flaubert, dziedzic długiej tradycji lekarzy, utrzymywał go w powadze praktycznych myśli i obowiązków.

Jedynym sprzętem, który wykraczał poza godziny zajęć powszednich, był bilard. Chłopiec uczynił zeń coś w rodzaju teatru, gdzie razem z siostrą Karoliną odgrywał komedijki własnego pomysłu. Trochę później, w liceum, wydawał dzienniczek rękopiśmienny "Sztuka i Postęp", pełny wiadomości teatralnych i plotek zakulisowych, które wypisywał z gazet. Ale nie ukończywszy trzynastu lat zmienił plan życia i odtąd miał pisać same powieści. "Piękna Andaluzyjka", "Bał maskowy", "Cardenio", "Dorota" i jeszcze parę tytułów odpadło, gdy wreszcie zabrał się do "Izabeli bawarskiej". Pisał do przyjaciela: "Jeślibym nie miał w głowie i na ostrzu piórn królowej z XV wieku, życie by mi do cna obrzydło i już dawno kula wyzwoliłaby mię od tego błazeństwa, które nazywają życiem."

Kaprysy sztubackie, które zazwyczaj nie sięgają poza parę stronic, jeśli nie kończą się na pociągającym tytule, zmieniły się wrychle w upór i w korespondencji z lat szkolnych wygląda już jak pisarz osaczony kłopotami i uniesieniami swego zawodu. Pejzaż tej na wpół dziecinnej twórczości falował grobami. Nie było to pospolite, romantyczne szafowanie krwią, która pachnie farbą teatralną, śmierć była rzeczywistą śmiercią, trup nie czczym widmem, ale ludzkimi zwłokami opisanymi z dokładnością oględzin sądowych.

Obfitość małego pisarza nie posiadała w sobie nic z radości, nie wyrażała zachwyconego powikłania świata, była jakby stłoczona i zawzięta, obca wzruszeniom i tkliwości. Ani razu serce nie odezwało się słowiczą nutą. W czasie kiedy wchodzi weń miłość, pisze "Quidquid volueris", ponury żywot zbrodni i rozpaczy istoty, która jest synem kobiety i małpy. Wtedy właśnie, w sierpniu 1837, spotkał w Trouville

Marię Schlesinger, żonę wydawcy nut, starszą od siebie o lat trzynaście, i zakochał się na całe życie. Uczyniwszy z niej później panią Arnoux z "Education sentimentale" oddał Fryderykowi Moreau na miłość dozgonną i beznadziejną.

W tym świecie, oglądanym jakby zawsze spod brwi zasępionych, była jednak szczelina, którą szumiała zdrowa i tęga młodość. Nazywało się to Carçon. Był to żart uporczywy, przekształcony w mit, w postać fantastyczną obarczoną mnóstwem czynów niewiarygodnych. Wybuchał nagle wśród najbardziej niewinnej rozmowy, chwalił jakieś potężne głupstwo, wypowiadał mowę pogrzebową na cześć żyjących osób, szalał, burzył nudę lub choćby przyćmiony spokój. Wejście Garçona było nieoczekiwane i gwałtowne jak spazm. Flaubert, siostra Karolina lub rówieśnik Gheyałier w pewnym momencie stawali się czymś w rodzaju medium dla przyjęcia tej osobliwej obecności. Nawiedzony przez Garçona odzywał się przenikliwym, ogłuszającym śmiechem i w uniesieniu, z zamkniętymi oczami wykrzykiwał tłustym głosem tyrady, obelgi, najpospolitsze bzdury.

Zapewne była to postać różnorodna jak wszystkie twory wyobraźni dziecinnej, ale dość rychło jej kręgosłupem stało się ośmieszanie mieszczańskich słów, gestów i nałogów, rzeczy, które miały być dla Flauberta zmorą całego życia. Ta niepisana twórczość, roztrwoniona w dniach wesołych, to wszystko, co młody Flaubert kształtował w ruchach i śmiechu niewidzialnego Garçona, było bardziej znamienne i ważniejsze od tych pokładów papieru, które zapełniał trupami i piekłem, albo^awiem przeniknęło tak głębokim nurtem, że da się wyśledzić aż po tętno ostatniej książki, "Bouvard et Pécuchet".

Po bakalaureacie odbył podróż w Pireneje i na Korsykę, przywiózł sporo notatek i opracowując je, po raz pierwszy zetknął się z problemem krajobrazu, co dało mu odczuć nowe słodczy pisarskie. W listopadzie 1840 wstąpił na wydział prawa w Paryżu, ów listopad wydał mu się tak przełomowy, że nazwał od niego pierwszy swój utwór godny uwagi. "Novembre", cały jakby w szeleście liści opadających, stylem wezbrany opowiada głuche wrzenie młodości, której pierwszy okres został po tamtej stronie dwudziestu lat; stalowa powierzchnia zdań -- tak wiele tu słów wyrażających ciemność -- drga romantyczną rozpaczą, jakiej w tych czasach nikt nie mógł uniknąć.

W uniwersytecie doświadczył tyle nudy i udręki, ile tylko studium prawa może dać silnemu temperamentowi i rozwiniętej wyobraźni. Z doświadczeń paryskich wyszła "Education sentimentale", pierwsza powieść pod tym tytułem, podjęta w wiele lat później z inną myślą i w innym planie. Wraz z nią zamknął w szufladzie, sam się tego nie domyślając, parę tomów swych "Oeuvres de jeunesse", które przetrwały dzięki nałogowi chowania najdrobniejszych świstków papieru i dzięki prostoduszności, z jaką wierzył, że i po śmierci i>ikt się

nie waży grzebać w jego biurku. Po ślubie siostry wyruszył z całą rodziną do Włoch i miałby prawo uważać to rodzinne tułactwo za jałową uciążliwość, gdyby nie obraz Breughela w muzeum genueńskim -- "Kuszenie św. Antoniego które go oczarowało i uwięziło na całe życie.

W niedługi czas później umarł ojciec, Gustaw porzucił studia i osiadł w Croisset, posiadłości wiejskiej pod Rouen, którą doktor Flaubert kupił na parę lat przed śmiercią. Starszy brat, Achilles, zastąpił ojca w zarządzie szpitala. Był to zbiór cnót mieszczańskich, dobry syn, podpora rodziny i społeczeństwa, zamknięty nawias pokolenia Flaubertów, poza którym pozostał Gustaw, rozgoryczony, nieświadomy swych celów, przeżywający młodość pozbawioną uroku. Cierpiał na epilepsję i powtarzające się ataki uczyniły go nieśmiałym, trwożliwym, czuł się wydziedziczony ze świata, w którym istnieje miłość. Czytał po całych dniach, uczył się greki, której nie zauważył podczas lat szkolnych, a na widok Sekwany z okien swego domu marzył, by zginąć na wodach Przylądka lub umrzeć na cholera w Kalkucie.

Podjęła rozbitka Luiza Colet, którą poznał w Paryżu. Poetka słabego lotu wypełniała braki talentu wspaniałą urodą. Niepewne stanowisko literackie i naturalna skłonność zmuszały ją do przechodzenia przez wiele rąk. Udało się jej stworzyć salon, w którym zbierało się sporo sław ówczesnej Francji. Była zupełnie bezinteresowna wobec niebieskookich dwudziestu pięciu lat Flauberta i w ich długi stosunek włożyła zapewne więcej serca niż kiedykolwiek przedtem. Dla niego zaś była po prostu uosobieniem kobiecego piękna, które zawsze pojmował w kształtach pełnych, jakby macierzyńskich. Zjeżdżali się w Mantes albo w Paryżu na kilka dni. W stolicy Flaubert przystrajał się na czarno, w biały krawat i białe rękawiczki, sądząc może, że tak powinien pokazywać się kochanek sławnej kobiety.

W tym czasie Flaubert zaczerpnął nowej świadomości pisarskiej. Wróciwszy z włości po Bretanii (plecak, laska, notes), zabrał się do spisywania wrażeń metodą zupełnie różną od porywów dotychczasowej twórczości. Po raz pierwszy owiał go chłód tych dziewiczych obszarów, na których lęgnie się własny styl ze słów rozproszonych i jakby nie- pochwytnie dalekich. Był to dzień triumfu, gdy pisał do Luizy, że spędził osiem godzin na poprawianiu pięciu stron, ale ten dzień odrywał go na zawsze od świata. Luiza coraz częściej musiała skarżyć się na opieszałość kochanka. On zaś odpowiadał: "Namiętność nie zgadza się z tą wytrwałą cierpliwością, jakiej wymaga praca. Sztuka jest dość obszerna, by wchłonąć całego człowieka: odjąć stąd cokolwiek jest prawie zbrodnią, jest okradaniem idei, sprzeniewierzeniem się obowiązkom."

Nie miał, oczywiście, na myśli swych wrażeń bretońskich, mówiąc 0 idei, Opracowywał je do spótki ? przyjacielem i towarzyszem po-

dróży, Maksymem Ducamp, lekceważąc tę pracę, która pt. "Par les champs et par les gróves" wyszła dopiero w jego dziełach pośmiertnych. Ideą i obowiązkiem było "Kuszenie św. Antoniego", temat, który trwał w nim tak uparcie jak "Faust" w Goethem. Zaczęło się to od misterium pt. "Smarrh", które napisał mając lat osiemnaście, pod wpływem romantycznego "Ahasverusa" Ouineta, rozwinęło się pod wrażeniem obrazu Breughela i skupiło wreszcie w sztychu Callota, zawieszonym w gabinecie, jakby nieodstępne przypomnienie.

Dwa lata trwał w zamęcie wizyj, w wichurze słów, tworząc apokalipsę samotności i nieprzeliczonych pragnień swej skąpej młodości, tak zespolony ze swym pustelnikiem, że pomimo już nabrzmiałych wysiłków swej nowej prozy, nie umiał opanować patosu i ociężały lekturą, upojony fantazją, stłoczył w paruset kartkach zgiełk niesamowity. Skończywszy, wezwał do Croisset swych najbliższych przyjaciół: Ducampa i Bouilheta. Czytał im rzecz całą przez cztery dni, codziennie od 12 do 4 i od 8 do północy, razem trzydzieści dwie godziny, których nie wolno było przerwać żadną uwagą, sąd miał się odbyć na końcu. Trwał bardzo krótko: obaj radzili rękopis wrzucić do pieca. Milczącemu Flaubertowi Bouilhet przypomniał głośną w swoim czasie historię lekarza De-lamarre, pospolite zdarzenie prowincjonalne, z którego raczej godziłoby się zrobić powieść niż płoszyć stulecia błędów ludzkich dokoła popiołów świętego. Ale wszystko zmierzchnęło w planach wielkiej podróży. Ducamp wybierał się na Wschód i Flaubert, którego nerwom lekarze zalecili Południe, postanowił mu towarzyszyć.

Spełniły się najgłębsze marzenia. Z matki Normandki, wyobrażał sobie, że jest potomkiem wielkiej rasy barbarzyńców północnych, owianych melancholią, przejętych odrazą do życia, o popędzie wędrownym, który był jakby ucieczką przed samym sobą. Widział się królem bojów i panem mórz, bez strzechy na spokój nocy, pośród bohaterów, którzy szli drogą łabędzią na zdobycie Italii, zakochani w słońcu, pijani snem o dniach świetlistych i pełnych miłości, zalewający ognisko domowe krwią i winem. Całą swą młodość niósł w tę podróż, wszystkie jej nie wyzyskane siły, wszystek zgiełk burzliwej natury, wiecznie rozdrażnionej małością i prostactwem otoczenia; miał niewątpliwe poczucie krucjaty przeciw pospolitości, którą uda mu się zdławić gdzieś na kresach horyzontów, u purpurowego rąbka tej drogi, w którą go wyprawiła matka z mnóstwem kufrów, przestróg i ciepłych rzeczy.

Podróż trwała z górą półtora roku. Była to jedna z ostatnich tego rodzaju wypraw literackich, droga nie dymu i szybkości, ale wielkich przestrzeni kołyszanych leniwym rytmem mułów. Zwiedzili Egipt od Aleksandrii aż po Wadi Halfa, Syrię i Palestynę, z Rodos przepłynęli do Marmaricy i przez Anatolię dotarli do Smyrny. Parowcem przejechali do Konstantynopola, stamtąd do Aten i znów rzemiennym dysz

lem przez cały Peloponez, "idąc od wschodu i kończąc na zachodnim Patras, gdzie wzięli okręt do Brindisi.

Wschód go znużył i rozczarował. Bardzo szybko nasycił się barwami i różnorodnością, coraz dalsze kilometry pętały go niby sznur więzienny. Ducamp, ruchliwy i przedsiębiorczy, biegał, zbierał wiadomości, robił notatki, zdjęcia. Flaubert zaś szukał jakiej dobrej maty w miejscu wolnym od much i słońca. Pejzaże powtarzały się, moszeje były zawsze takie same, świątynie egipskie rodziły przygnębienie. Wystarczyło, że świat, o którym marzył latami, zbliżył się na odległość spojrzenia, by już odwróciły się myśli ku wszystkiemu, co zostało poza uciążliwą szachownicą południków i równoleżników jego drogi.

W bezmiarze kołysał się jeden drobny punkt, który rósł w oczach jak w soczewce i przyjmował bezcenny kształt okrągłego stołu w pracowni w Croisset. Przez tęsknotę i znużenie Flaubert stał się wrażliwy, podlegał nagłym wzruszeniom, otaczał nieznaną serdecznością wspomnienia swego domu. Nie rozproszył się, ale bardziej skupił w sobie i te wszystkie dni gromadziły się na nim jak mierzwa zimy na zwierzęciu uśpionym i żyjącym własną substancją. Żył historią lekarza Dela-marre. Myśl o niej zacieśniła w końcu te płomienne obszary w skromny, przyćmiony obwód Yonville Abbaye, a przy drugiej katarakcie Nilu, poprzez ogłuszający huk wód krzyknął oderwane nagle z mroków imiona: Emma Bovary.

Podróż na Wschód zamknęła młodość. Miał lat trzydzieści i odtąd historia jego życia jest historią jego książek. Odgrodził się od świata namiętnością porywczą i nieustępliwą, wszedł w zawód pisarza jak w regułę twardego zakonu. Zdawało się, że dom w Croisset związał się na nowo ślubami jak w czasach, kiedy należał do mnichów opactwa w Saint Ouen. Wszystko było przygotowane dla pracowitej samotności. Biały dwór mieścił niewiele osób i jego prosty mechanizm działał pod okiem matki sprawnie i niewidzialnie. Flaubert mógł korzystać z jej trosk codziennych w taki sam sposób, jak oddychając korzysta się z tajemniczego laboratorium przyrody, w którym wytwarza się powietrze.

Pracownia była na piętrze: obszerny pokój o skąym urządzeniu. Pośrodku stół i fotel, pod ścianami trochę książek w szafach, w jednym rogu sofa zarzucona poduszkami i skóra białego niedźwiedzia na podłodze. Pięć okien streszczało niejako krajobraz całej okolicy z pastwiskami, z lasem u horyzontu, z aleją lipową dworskiego parku i z wielkim zakrętem Sekwany, niosącej statki ku morzu lub do Rouen, którego dzwonnice ciemniały na niebie.

Dzień Flauberta miał rzadko mniej niż czternaście godzin, z których zaledwie parę dałoby się odliczyć na posiłki, przechadzki, rozmowy z matką, listy. Luiza wzywała go co pewien czas do Paryża, były to jednak krótkie, parodniowe wycieczki. Zanim wdział to nowe życie,

minęło kilka miesięcy wahania. "Madame *Bovary" odstręczała go trudem, który przeczuwał, i pospolitością, wobec której wzdrygał się jego liryzm z okresu "Kuszenia". Chciał znów powrócić do swego pustelnika. Bouilhet, jego dajmonion literackie, i Teofil Gautier odciągnęli go od tego zamiaru. W styczniu 1857 zaczął pisać i w listach odezwał się pierwszy okrzyk bólu, gdy pięć ciężkich dni położył na jedną zaledwie stronicę.

Styl pojmował Flaubert jako wyrażenie rzeczy we właściwych barwach, ruchu i natężeniu przez użycie słów z daną rzeczą tak zrosniętych, jak gdyby i rzecz sama, i słowo ją określające urodziły się razem. Była w tym pojęciu nieomal mistyczna wiara w jakiś byt zaginiony, w którym i słowa, i rzeczy trwały we wspólnym uścisku, dopóki nie rozerwała ich wichura nowej rzeczywistości. Zdanie stawało się mechanizmem, którego części musiały być odszukane w olbrzymich składach języka, musiało się znaleźć ten jedyny rzeczownik, który był nazwą przedmiotu, ten jedyny przymiotnik, który dawał mu barwę, odcień, dźwięk, i ten jedyny czasownik, który przedmiot poruszał i ożywiał. Przykuty do papieru, ze spłomienioną twarzą, z nabrzmiałymi żyłami, Flaubert, nękany strachem, z gardłem wyschniętym od pragnienia, czynił wrażenie człowieka podnoszącego ciężkie warstwy ziemi, by się dokopać do jakiegoś źdźbła czy ziarna, które czuł wewnętrznym instynktem.

Znalezienie właściwego słowa, tryumf zawsze wielki i radosny, nie wystarczało. Harmonia zdania mogła je odrzucić, mogła się zwichnąć na nieprzewidzianej zdrze. Nadciągała nowa tajemnica: rytm prozy. Myślał o stylu, który by był "piękny i rytmiczny jak wiersz, dokładny jak język nauki, o przelewach wiolonczeli, o grzywach ognia; styl, który by wchodził w myśl jak cios sztyletu i w którym by myśl płynęła gładko jak łódź z wiatrem". Od wieków ukształtowano ucho ludzkie na harmonię wiersza, ustanowiono jej zasady, rozdzielono środki. Proza, pozbawiona takiego ryzsztunku, którego pióropusze, blask i metal rozpoznaje się łatwo i z daleka, walczy utajonymi chwytami, uwikłana w drobnych podstępach, w nieskończonej wprost ilości zabiegów. Rytm prozy musi być zupełnie różny od rytmu wiersza, nic bardziej pospolitego, bardziej natrętnego od zdań kończących się kilku skandowanymi sylabami.

Szukanie właściwego miejsca dla zdania lub choćby dla znamiennego wyrazu stawało się długą pielgrzymką wśród kompozycji ustępu. Położyć słowo we właściwym miejscu, nieprzesuwalne jak kamień w murze, znaczy wynieść je do godności istoty żywej, zdolnej wzruszać, radować, budzić strach lub zachwyt, w takim słowie można zgromadzić tyle mocy, by uwięzione w niepozornym zakątku stronicy rwało ją w górę jak śmigło lub rozścielało szeroką, falującą płaszczyznę. W ten sposób stosunek pisarza do utworu zmienia się w długą i dramatyczną

miłość i nie podobna się dziwić, że gdy ktoś wchodził do pracowni, Flaubert narzucał na stół płachtę jedwabną, aby niczyje oko nie spoczęło na tych udręczonych kartach.

To, co pisał przed rokiem 1852, należało do jego osobistego życia, rodziło się i dojrzewało wśród książek, które czytał, wśród uczuć, których doświadcza). "Madame Bovary" zaskoczyła go zniechęca, była to myśl Bouilheta. Flaubert, oplątany w wizję z "Tentation", spadł jakby z dalekiej gwiazdy na ten żalony okruch życia, przed którym, zdawało się, zabezpieczała go chyba na zawsze pogarda dla spraw i ludzi pospolitych. Najpierw ją odepchnął, potem był nią olśniony. Można przypuszczać, że jego zawziętość pisarska przyłgnęła do tego pomysłu przez wzgląd na trudy, jakie zapowiadał. Instynkt artysty odczuł, że otwiera się praca szczerą i rzetelną, po prostu bez granic, bo nie sfalszowana ani jednym z owych łatwych porywów, którymi wypowiadają się nasze nałogi uczuciowe i skłonności intelektualne. Obcość tematu i środowiska, obcość prawie nienawistna, nasunęła mu myśl o literaturze nieosobistej, której stał się prawodawcą i fanatykiem. Powieść miała być historią ludzi nie należących do historii, historią jednostek wyluskanych z owej miazgi niekształtnej, która jak nawóz leży w glebie każdego czasu. Ta historia szarego bytu miała być jednak prawdziwą historią przez powagę badań, sumiennność szczegółów i doskonałość stylu, jednocześnie zaś miała wrócić do źródła wszelkiej historii, do eposu, w swej niewzruszonej sprawiedliwości, w swym oderwaniu od osoby autora. Pisarz powinien się tak ukryć w dziele, by nie zostało śladu jego uczuć, przekonań, skłonności, by żaden zwrot nie zadrgał osobistym wzruszeniem, powinien po prostu zniknąć i nie byłoby już nic dziwnego, gdyby w przyszłości zwątpiono o jego istnieniu.

Narzuciwszy sobie tak wiele, wyglądał niekiedy jak więzień wśród czterech gładkich ścian, z wolną przestrzenią u góry, na zawsze oderwaną od jego ucieczki, od rąk nie mających oparcia. Polatywały nad nim wszystkie pokusy swobody: dźwięczne okresy, metafory różnobarwne, uniesienia liryczne, krajobrazy wspaniałe, niesamowite zdarzenia, do których tak słodko przywrzeć łatwością gotowych zwrotów. Rok za rokiem mijał, a on żył najintymniejszym życiem pośród ludzi, którzy w codziennym spotkaniu byli dlań zgrozą i obrzydzeniem.

Nienawidził mieszczaństwa ponad wszelkie słowo. Rozmowa zasłyszana na ulicy, czyjaś twarz, gesty odurzały go po prostu. Był w ciągłym rozdrażnieniu, albowiem gdy nie starczyło szczerzej, zwyczajnej głupoty, umiał ją wynaleźć w pozornej lub rzeczywistej inteligencji, nawet w samotności, w automatyzmie własnych ruchów zdobywał tę odrobinę groteski, która snadź była mu potrzebna do życia. Ale jak się to często dzieje, przedmiot wstrętu był jednocześnie przedmiotem ciekawości. Flaubert miał na swym stole lornetkę i wpatrywał się w fizjonomie ludzi przejeżdżających po Sekwanie statkami, które widać było z jego okien. Ostatecznie stał się kolekcjonerem pospolitości i zdarzało się, że namiętność zbieracza odzywała się zachwytem wręcz miłosnym.

To już wystarczyło, by atmosfera, w której powstawała "Madame Bovary", nie tchnęła całkowitą obojętnością. W istocie było tam znacznie więcej, niż się wydaje. Oczywiście Flaubert nie rozkochał się w osobie aptekarza Homais i w tym świecie, który on wyrażał. Ale ten właśnie świat obwoził ze sobą po wszystkich drogach

wymarzonego Wschodu. Pod sklepieniem nocy egipskich nagle zapalała się lampa naftowa pośrodku jakiegoś stołu przykrytego obrusem w kwiaty, zwieraly się ściany jakiegoś bytu o mdłym zapachu, wysnuwała się gromadka ludzi, niemożliwych do pojęcia inaczej, jak w pobłażliwości dobrego serca.

To, z czym Flaubert-człowiek walczył wrażliwością swych nerwów w ciasnocie prowincjonalnego zaścianka, to Flaubert-pisarz rozgrzeszał w godzinach upartej pracy, pod błogosławieństwem jedynej obecności, która mu była zawsze lekka i pełna uroku. Można pojąć, że obudziło się pewne przywiązanie do osób i rzeczy tego płaskiego środowiska przez sam fakt, że ocierały się o nią, że oddychały tym samym powietrzem, co Emma Bovary. A o niej powiedział: "Madame Bovary cest moi". Była to jedna z tych prawd poufnych, które odprężona szczerłość wyrwa pisarzowi wbrew jego woli.

Historia Emmy złożyła się z przygód jego własnej duszy. Krył się w tym czar osobliwy, że można było cały dręczący świat strącić na barki wątle i urocze, pragnienia mężczyzny oddać sercu kobiety, wszystkie tęsknoty i marzenia, własną nudę, czczość, bezbronność wypiać ustami pachnącymi od pocałunków, zrzucić starą, twardą skórę i wejść nerwami, niepokojem krwi w ciało młode i rozkoszne, i w tym nowym kształcie ożyć nareszcie wszystkim, co w nim samym było tkliwe, wrażliwe, zdeptane wstydem i przybraną szorstkością. Już nigdy więcej nie miało się to powtórzyć w jego twórczości. Kobiety, które pojawiały się w późniejszych dziełach, zatrzymywały się na odległość zwyczajnego cielesnego spojrzenia i nawet pani Arnoux z "Education sentimentale" przestaje istnieć, ilekroć nie ma przy niej miłości Fryderyka.

Pięć lat bez mała przeżył Flaubert w tej książce. Ani jednego momentu nie wypuszczał na swobodę roztargnionego pióra. W każdym szczególe, choćby odrażająco pospolitym i ostatecznie błahym, bytował nieraz dni całe, rzekomo przesiewając słowa, a w istocie wchodząc w jego rdzeń, by odczuć go nagłym błyskiem porozumienia, wyraźnie i nieomylnie. Sam wiedział, że się rozlewa w swym dziele na kształt Boga panteistów. "Dzisiaj -- pisał w liście -- jako mężczyzna i kobieta, kochanek i kochanka w jednej osobie, jechałem konno przez las w jesienne popołudnie, pod żółtymi liśćmi, i byłem koźmi, liśćmi,

wiatrem, słowami, które się mówiło, i słońcem czerwonym, które przymrużało ich oczy zatopione w miłości."

Jeśli wybrać z korespondencji ustępy dotyczące jego pracy, ma się obraz przerażającego męczeństwa. Człowiek, który po dniu najcięższych trudów znajduje na pogmatwanej stronicy dwa zdania i trzecie nie skończone, późną nocą, wyczerpany i pusty, nie miał sił na nic więcej prócz bolesnego jęku. A listy są datowane zazwyczaj między dwunastą a drugą. Sen odpędzał ten koszmar i jutro zastawało go w rozradowaniu nowych wysiłków. Ilekroć wypadło na kilka dni opuścić Croisset, doznawał dręczącej nostalgii. Potem znów skarżył się: "W moim biednym życiu, tak płaskim i spokojnym, zdania są przygodami, i nie zbieram innych kwiatów prócz metafor", i znów nie oddałby tego "biednego życia" za wszystkie powaby, jakie mogłyby mu przynieść jego młodość, dostatek, niezależność. Zerwał z Luizą, uczynił to tak brutalnie, że aż zgorszył i oburzył swoją matkę, wygnał ją, gdy [się odważyła przyjechać do Croisset, wygnał pod wpływem strachu, że najmniejszym ustępstwem zniszczy moc swej twierdzy. Wyrzekł się | wszystkiego, co mogło powściągnąć jego jedyną, oszałamiającą namiętność.

Skargi, gorycze, rozpacz, których tak pełno w listach, pozwalają przeczuwać siłę jego milczących uniesień. Gdyby ktoś podsłuchiwał samotność ascety, doszedłby go niewątpliwie płacz, gdy pustynia narasta, słyszałby jęki przy biczowaniu, słyszałby słabnący oddech wycieńczonego ciała, ale żaden szepc, żaden szmer nie zdradziłby mu wielkiej, purpurowej ciszy ekstazy. Flaubert, pustelnik, asceta i męczennik stylu, przechodził chwile zawrotnej ekstazy, gdy z karty splątanej w niesamowite kłębowisko kreśleń, niby z podeptanych grzechów, podnosił s*ię chór zdań olśniewających w swej nieskazitelnosci. I znów stany łaski rodziły akty pokory, wobec ogromu sztuki trud własny wydawał się drobny i błahy, jak serce napełnione modlitwą czuje swą znikomość wobec wielkości Boga.

Flaubert mówił o swojej pracy żartobliwie i rubasznie, lecz o swym zawodzie przemawiał słowami wyznawcy i mistyka. Oto jedna z najpiękniejszych kart, jakie poświęcono sztuce pisarskiej: "Nie jestże życie artysty lub raczej wykonanie dzieła sztuki czymś w rodzaju zdobywania wielkiej góry? Twarda droga i wymagająca wścieklej woli. Najpierw widzi się z dołu wysoki szczyt; błyszczący wśród nieba niepokalanie, straszliwy w swej wysokości! i to właśnie pociąga. Idziesz, a na każdym zakręcie drogi wierch rośnie, horyzont się cofa, idziesz wśród przepaści, zawrotów i omdleń, zimno a wieczysty huragan wysokich regionów przenika cię aż po ostatni strzęp odzienia; ziemia znikła na zawsze, a celu nigdy się już nie osiągnie. To godzina obrachunku swych trudów, gdy patrzysz z przerażeniem na popękana skórę. I nic, tylko nieodparte pragnienie, by iść wyżej, skończyć, umrzeć. Ale

niekiedy nadchodzi wiatr niebieski i ku' twemu olśnieniu odsłania doskonałości nieprzeliczone, nieskończone, cudowne. O dwadzieścia tysięcy stóp pod sobą widzi się ludzi, olimpijski wiatr napełnia nasze płuca potężne i czujesz się olbrzymem, który cały świat ma za piedestał. Za czym znów mgła zapada i dalej idzie się po omacku, łamiąc paznokcie o skały i płacząc z samotności. To nic! Umrzujemy w śniegu, w białej boleści naszego pragnienia, wśród szumu strumieni ducha, z twarzą zwróconą ku słońcu."

„Madame Bovary”, skończona i przepisana, odeszła do "Revue de Paris", której Ducamp był współredaktorem. Ponieważ było to arcydzieło, zażądano przede wszystkim skrótów. Powieść jest zagmatwana, zawiera mnóstwo rzeczy zbędnych, a tymczasem w redakcji znajduje się osoba doświadczona i zręczna, która za sto franków z łatwością upora się z niepotrzebnym balastem. Z łatwością! Opowiada Mau- passant, że kiedy Flaubert czytał przyjaciółom "Un coeur simple", zganiono jako zbyt kunsztowny dla prostego umysłu chłopki ustęp, w którym służąca widzi w papudze Ducha Świętego, Flaubert przyznał słuszność i wziął się do roboty. Chcąc poprawić dziesięć wierszy, przesiedział całą noc, zmarnował dwadzieścia kartek brulionów i zostawił tekst nie zmieniony, albowiem nie znalazł kilku zdań, które by poniosły nowy sens rytmem całego utworu.

Flaubert napisał na liście Ducampa: "Gigantesque", ale nie sprzeciwił się skrótom. Dopóki pisał bez myśli o druku, był zupełnie niezależny, siedział w swym rękopisie jak w twierdzy. Wszedłszy na drogę kariery literackiej, stracił pewność siebie, stał się uległy, być może z upokorzenia, że nie miał dość sił, by się powstrzymać od pierwszego kroku. Zanim minęło parę miesięcy, zgrzeszył wszelkimi przywarami debiutantów, drażniło go błędnie w zapowiedzi wydrukowane nazwisko, nie mógł się doczekać rozpoczęcia druku.

Druk powieści skończył się oskarżeniem autora i wydawców "Revue de Paris" o występki przeciw obyczajności. Prokurator wypowiedział w swej mowie wszystko, czym kiedykolwiek obłuda i ciemnota zaszczyliła rzetelne dzieło sztuki. Biorąc do swych wywodów liczne cytaty z "Madame Bovary", dał sposobność sędziemu odetchnąć ich nieprzewidzianym urokiem; z ruchu jego ust poznano, że parokrotnie szepnął: "Charmant". Zapadł wyrok uniewinniający, w którego jednak zwrotach błąkał się cień oślich uszu. Jeszcze przed zamknięciem rozprawy Lécvy zakupił za pięćset franków prawo wydawania powieści w ciągu lat pięciu. W dwa miesiące rozeszło się piętnaście tysięcy egzemplarzy.

Dzień 30 kwietnia 1857, kiedy "Madame Bovary" wyszła w zielonej okładce wydań firmy Lécvy, w barwach, w których wyruszali Stendhal, Balzac, G. Sand, Gautier, Lamartine, był uroczystą chwilą w dziejach prozy francuskiej. Pojawiała się książka, mająca dać życie, siłę i świadomość nowemu kierunkowi, który pod nazwą realizmu uświetnił się

działami wielkiego talentu i zapewnił Francji nowy okres hegemonii w literaturze europejskiej. "Madame Bovary" była arcydziełem tego rodzaju powieści, które chciały przedstawić życie w złudzeniu jakiejś metafizycznej niezależności od osoby autora, i środki do tego celu, wszystkie zabiegi techniczne Flaubert udoskonalił w sposób nieprzewyższony. Nie było dotychczas powieści o tak czarującej kompozycji, o tak wybornym opracowaniu szczegółów, a historii stylu przybyła nowa karta. Dziś, z odległości osiemdziesięciu lat, które w każdej literaturze zgromadziły rzeczy będące jej słuszną dumą i sławą, "Madame Bovary" pozostaje tym, czym była w dniu swego pojawienia się: pierwszą powieścią świata.

Krytyka współczesna podjęła proces przegrany przez prokuratora Pinard i rzeczy, które wtedy napisano, zdumiewają w kraju tradycyjnej swobody literackiej. Sainte-Beuve, zresztą bardzo powściągliwy, nie zdołał ukryć swego podziwu i naraził się na otwartą denuncjację. Publiczność, podniecona procesem i zgorzeniem dzienników, wywlokła książkę do salonów, na ulicę, do kabaretów. W jednym z teatrzyków piękna prowincjałka jechała na wózku ciągniętym przez Pierrota, wśród kupletów, które później śpiewano na bulwarach. Flaubert odrzucił propozycję przerobienia powieści na scenę.

Nieoczekiwany rozgłos wypędził go z Paryża. W Croisset strwożyła go pustka: wyglądało, jakby rzeczywiście umarła ta droga istota, wypełniająca sobą wszystkie godziny ostatnich lat pięciu. Przez parę tygodni szamotał się nad "Tentation", lecz porzucił ją i zabrał się do powieści pt. "Kartagina". Kobieta, która panowała nad akcją, nazywała się Pyrrha. W kilka miesięcy nasycił się Pliniuszem, historykami greckimi, zwertował wszystko, co dało się znaleźć o Fenicji w archiwach Akademii, zrobił plan piętnastu rozdziałów, a kiedy pierwszy z nich napisał, spostrzegł, że pracuje w zupełnym mroku. Zabrakło mu wizji krajobrazu, jedynej rzeczy żywej, która została po tym świecie zaginionym. Z wiosną odbył podróż do Tunisu, przemierzył wzdłuż i szerz całą okolicę starożytnej Kartaginy, od rana do nocy włóczył się na koniu po bezdrożach, policzył wszystkie pagórki, spamiętał wszystkie wschody i zachody słońca, zasypiał pod namiotami Beduinów, przy wyciu szakali.

Było to zupełnie inne niż podróż na Wschód, ani jeden dzień nie był pusty, najlżejszy chwast przydrożny był godny uwagi jako dokument lub wskazówka. Wrócił zdrowy, wesół, hałaśliwy, organizm zmięty przez pięć lat bezruchu odprężył się, nabrał owej pogody sprawnych mięśni, która ma księżycową zdolność uśmierzenia siły grawitacji i każdy ciężar czyni lekkim.

Pierwotny plan powieści przerobił całkowicie. Pyrrha zmieniła się w Salammbd. Odczuwał wielką radość, że przez kilka lat żyć będzie w temacie wspaniałym, o parę tysięcy obiegów ziemi od świata współczesnego, daleko od ludzi i rzeczy drobnych, i od razu w pierwszych stronicach tarzał się po prostu w klejnotach, którymi obsypywał strój swej Fenicjanki, i w metaforach, za którymi tak tęsknił w czasach "Madame Bovary". Lecz wrychle wszystko się zaćmiło i przyszłość wyglądała jak nieskończony szereg kreśleń. Nieomal każde zdanie chwiało się, czuł pod nim groźną próżnię. Wszystkie tomy poszukiwań bibliotecznych nie mogły jej ani o cal zmniejszyć. Brakowało słów dla wyrażenia najprostszyc rzeczy i wielokrotnie zmieniał szczegóły, których nie mógł opisać, Kartagina była okryta wieczną nocą. Jakich fortelów używał, by oszukać swój głód konkretności, ile sztuki włożył, by zarysy życia codziennego utrzymać w przymgleniu!

Nigdy nie wyraziła się tak jawnie przekora Flauberta, nigdy równie szorstko nie

wyróżniło się jego wyspiarstwo duchowe, jak w wyborze tego tematu. W ucieczce od wszelkich momentów znanych, wysławianych i budujących oparł się aż na tej granicy, gdzie Kartagina nie sięga nawet wojen punickich, pozostaje zupełnie poza kręgiem naszej historii świat osamotniony i po prostu zbędny. Zdawałoby się, że naj usilniej dbał o to, by go nie posądzono o żadną ideę, o szukanie jakiejś nauki w dziejach, których odległe fale mogą jeszcze uderzać o nasze wybrzeża. Kłopoty jednego miasta z armią najemną były nawet na tle dziesiątka lat tamtoczesnej mało urozmaiconej historii Morza Śródziemnego wydarzeniem błałym i postronnym. Czas, który im Flaubert poświęcił, uwaga, z jaką je śledził, męczeństwo stylu, które w nie włożył, rzucone na szalę przeważałyby wszystko, co z tych faktów kiedykolwiek wynikało, i jego książka zostaje na troskę naszemu zdumieniu niby wspaniały owoc opadły z płóczego chwastu.

"Salammbó" miała być nagrodą za poniewierkę w środowisku drobno-mieszczkańskim. Nareszcie mógł spełnić to, do czego się tak rwał w czasach "Madame Bovary": powierzyć swe pióro pięknym okresom, barwnym opisom, nie krępować się rzeczywistością, którą ostatecznie sam tworzył. Flaubert przeczytał nie tylko to, co należało przeczytać w związku z tematem, ale znacznie więcej, zgarnął sporo tekstów z innych epok, i chociaż nikt nie potrafił dać obrazu Kartaginy, nikt nie wątpi, że obraz Flauberta jest fantastyczny. Wszystko kształtował ze swych marzeń: i klejnoty, i uczty, i zapachy, i dusze -- sam wyraża się o łowieniu tych dusz obcych i niepojętych, jakby je chwycił snem. Łudził się jednak, że odtwarza prawdę, walczył o nią, i to złudzenie czyni jego dzieło droższym, chcielibyśmy wierzyć, że jakąś tajemnicą te fakty, uchylone z pamięci ludzkiej, wybrały sobie najrzetelniejsze sumienie pisarskie, najszlachetniejsze słowo, by odżyć, odrzucić ze siebie wzdargę czasu.

Flaubert tą książką zaskoczył swoich współczesnych. Od autora "Madame Bovary" oczekiwano raczej wszystkiego niż historii, dla której nikt nie mógł znaleźć żadnego usprawiedliwienia. Krytyka, która

w ciągu tych pięciu lat nabrała trochę szacunku dla jego prozy, wrastającej coraz silniej w młodą generację pisarzy, skarżyła się, że oddał swój talent jałowej erudycji i zamierzył wskrzesić nicość. Sainte-Beuve domagał się słownika dla mnóstwa niezrozumiałych wyrazów, których nadmiar uważał za pretensjonalność, prócz tego, zrażony okrucieństwem pewnych scen, zarzucił wyobraźni Flauberta sadyzm. Z kilku ambon padły oskarżenia o demoralizację.

To raczej wzmogło powodzenie. Śpiewano piosenki o Fenicjanach, pisano wiersze satyryczne, Palais Royal wystawił parodię pt. "Folamm- boo ou Cocasseries Carthagoises", w karnawale kostium SalammbO był sukcesem w każdym salonie. Przyjęto rzecz niby malowniczą operę i sam Flaubert jakby trochę w ten sposób patrzył na swoje dzieło, skoro zabrał się do scenariusza operowego. Zawierał i rozwiązywał umowy z różnymi kompozytorami, tułał się z tym pomysłem do końca życia i dopiero po jego śmierci rzecz doszła do skutku; muzyka, którą miał ongi układać Verdi, była dziełem Reyera.

Sława trochę umiarkowała jego pustelnictwo. Borsuk z Croisset ocierał się o potęgę tego świata. Zaprzyjaźnił się z księżniczką Matyldą, z księciem Hieronimem, Napoleon III zapraszał go do Compiègne, bywał na przyjęciach w Tuilerych. Miał w Paryżu stały apartament, brał udział w obiadach literackich, sam przyjmował w niedziele. Schodzili się ludzie, których szanował, podziwiał i kochał, Turgieniew, Taine, Gautier, Goncourtowie, z każdym kwartałem ktoś nowy wprowadzał się tam swym talentem, Zola, Daudet, inni.

Flaubert, w obszernym robdeszanie, w czapeczce jedwabnej, dobroduszny i hałaśliwy, przewodził tym orgiom intelektualnym, które ciągnęły się od południa do wieczora. Mówiło się oczywiście o literaturze, gospodarz nie rozumiał innych zainteresowań. Lecz z bieżącej literatury Flaubert wymykał się zawsze do klasyków języka francuskiego, recytował z pamięci całe stronice, wielkim głosem szerzył entuzjazm, wreszcie schodził ku drobiazgowym rozważaniom ich sztuki, co było jego największą namiętnością. Nawet w tym towarzystwie miał zazwyczaj tylko słuchaczy. Musiałby się przenieść o dwa tysiące lat, do koła aleksandryjskich komentatorów, aby znaleźć na swoją miarę zapał do zdań, słów i dźwięków.

"Salammbó" skończył w kwietniu 1862, a następną powieść, "Bducation sentimentale", zaczął pisać dopiero we wrześniu 1864. Nie trzeba sądzić, że te dwa lata spędził na bezczynności i poufaleniu się ze sławą. Taka przerwa była niemożliwa dla jego potrzeby pracy. Wypełnił ją najdziwniejszym zajęciem, jakie można związać z jego osobą: napisał feerię, "Château des Coeurs". Przeczytał przedtem trzydzieści kilka sztuk tego rodzaju, wszystkie dramaty Szekspira, w których występuje świat fantastyczny, całą bibliotekę bajek. Niezwykłością pomysłu było, że słowa dialogów konkretyzowały się

w obrazu poza osobami działającymi, cały wir nieustannie zmieniających się scen, co było wspaniałe, ale żaden teatr nie mógł tego wykonać.

"Zamek serc" błąkał się po różnych dyrektorach, niejeden nawet nie zaglądał do rękopisu, z góry przeświadczony, że od Flauberta nie podobna oczekiwać lekkiej roboty. Żeby już do tych spraw nie wracać, należy wspomnieć, że Flaubert jeszcze dwa razy próbował zdobyć scenę: najpierw komedią "Słaba płeć", którą napisał w całości według scenariusza pozostawionego w papierach pośmiertnych Bouilheta, następnie własną komedią pt. "Kandydat", graną w 1874 w Vaudeville'u. Niepowodzenie było żalosne, sala napelniona sympatią i szacunkiem dla wielkiego pisarza zastygła jakby w zawstydzeniu.

Uśmierzał gorycz przekonaniem o niższości teatru i z tym większym zapałem wracał do powieści. W 1864 "Education sentimentale" pozwoliła zapomnieć o "Chateau des Coeurs". Podejmował temat z dawnych dni, ale nowy plan daleko wykraczał poza powieść młodzieńczą. Tamta była tylko ukształtowaniem osobistych przeżyć, ta, nie wolna wprowadzić od materiału autobiograficznego, miała zamknąć historię całego pokolenia.

Mógłby ktoś sądzić, że Flaubert osiągnął już ten stopień rozwoju pisiftskiego, który pozwala na pewną swobodę, lekkość pracy, ograniczony tylko zwykłymi trudnościami, jakie spotyka myśl w poszukiwaniu słowa. Ale znaczyłoby to przypisywać mu rutynę, gdy tymczasem on w każdej nowej książce starał się raczej wyzbyć zdobyczy poprzedniej. Pojmując styl jako wyraz właściwy jednej idei, jednej konstrukcji, tworzył tyle stylów, ile książek. Nie podobna mówić o stylu Flauberta w sensie jakiejś całości i wpływu, naśladownictwa, upodobania grupują się zawsze dokoła któregoś z jego pięciu wielkich dzieł, sam Flaubert trwa poza nimi jako zbiór różnorodnych możliwości, powtarzających się chyba w drobnych nałogach.

"Education sentimentale" zabrała mu pięć lat, co w swoim czasie wydawało się dziwne, albowiem dopatrzono się w tej powieści tak luźnej kompozycji, że chciano to objaśniać swobodą czy niedbałością. Podobny sąd można porównać z uprzedzeniem tych, którzy w jednym z obrazów Rembrandta widzieli noc, dopóki nie pokazano im jaskrawości i cieniów godziny południowej. Kompozycja "Education sentimentale" była wykonana z tą samą starannością, jakiej doznawały inne dzieła, i raczej zasługuje na podziw kunsztowną niepewnością swego biegu: waha się i zmienia kierunek jak samo życie.

Opracowanie planu wymagało tyle czasu, ile komu innemu wystarczyłoby na całą powieść. Obmyślał rozdział za rozdziałem, scenę za sceną, w szczegółowym rozkładzie opisów i dialogów, znał od razu liczbę stron książki. Pisał bez żadnych przeskoków, wypełniając plan dokładnie, bez zmian, zrosnięty z każdym drobiazgiem, którego

Już nie mógł usunąć, choćby widział jego niedogodność. Czynił jedynie przerwy dla zebrania potrzebnych dokumentów.

Nie znosił najmniejszej wątpliwości. Musiał być wszędzie tam, gdzie bodaj przez chwilę zatrzymały się jego postacie, odbywał ich podróże, zwiedzał ich strony rodzinne, oglądał farmy i domy, w których mieli zamieszkać, z Fryderykiem i Rosanettą przeszedł wszystkie aleje lasu w Fontainebleau i znał szum drzew nad każdą ławką ich odpoczynku. Chociaż w "Education" szło o rzeczy jemu współczesne, brał wiadomości od osób, które w tych czasach przeżyły więcej niż on, przeczytał komplety dzienników od 1835 do 1856, do każdej kwestii poruszanej w rozmowach miał notatki z lektury, zaznajamiał się z fabrykacją porcelany i fajansów, gdy Arnoux otwierał swoją fabrykę; chodził po zakładach pogrzebowych i cmentarzach, gdy nadeszła pora śmierci pana Dambreuse. Pracował solidnie jak dawni majstrzy, którzy nie liczyli na stiuk lub farbę, by ukryć lichotę materiału czy nieszczerłość ciosu.

Było w tym wiele podobieństwa do rzetelności historyka. Flaubert chciał dać w zakresie obyczajów, nastrojów, uczuć historię pokolenia równie wolną od nieścisłości, jak byłaby nią dobra historia zdarzeń politycznych. W innych dziełach, pomimo sumiennie określonych miejsc i czasów, przez głębokie studium natury ludzkiej lub piękno wizji wynosił swój temat z okoliczności przypadkowych i czynił go własnością wielu stuleci, w "Education" natomiast z drobiazgową pieczołowitością zatrzymał swych ludzi w stroju, jaki ich ciała i dusze nosiły przez dwa blade dziesiątki lat ubiegłego wieku.

Senna egzystencja Fryderyka Moreau, szamotanie się Deslauriersa, metamorfozy Scnécala są obliczone w wartościach równie przedawnionych jak papiery giełdowe, na których opiera się majątek pana Dambreuse. Ale istnieje w nich coś, co szczególnie zaprzęta naszą uwagę: ich bezkręgowość, organiczny niedostatek tych istot, czepiających się życia jakby nieświadomym uchwytem rąk, lecz ślepych odruchami, którym wszystko umyka. W literaturze międzywojennej znów takie postacie odżyły, jest ich bardzo wiele, i okazuje się, że to, co Flaubert tak starannie analizował jako cechę swego pokolenia, jest znamienne dla wszystkich okresów przejściowych.

"Education sentimentale" faluje wielką różnorodnością faktów po znacznym obszarze czasu i spływa nieomal bez szmeru w zakończeniu, które nie jest rozstrzygnięciem, nic się w tej powieści nie utrwała, nic Błę nie zamyka, jeśli nie brać pod uwagę paru dalszych postaci znajdujących swój kres w śmierci. Od dawna nauczyliśmy się cenić takie dzieła ze względu na ich podobieństwo z życiem, każda literatura ma kilka ich typów, ale w czasie kiedy wyszła "Education sentimentale", uznano to za osobliwość naganną. Flaubert oczekiwał powodzenia i był do głębi dotknięty obojętnością czytelników i chłodem krytyki. Zabrakło Sainte-Beuve'a, on jeden byłby ocalił z powszechnego rozczarowania przynajmniej miłość Fryderyka i pani Arnoux, jedno z najsubtelniejszych uczuć, jakie zna literatura. | Zanim jeszcze "Education" ukazała się w książce, Flaubert powrócił po raz trzeci do św. Antoniego. Jakby to była nowa rzecz, wdał się w długie studia, przeorał mitologię indyjską, grecką, czytał Kanta, Spinozę, Hegla, podczas wojny pruskiej zakopał rękopisy w żelaznej skrzyni, i wreszcie po wielu wahaniach i skrupułach ogłosił w r. 1874. Od młodzieńczej różniła się ta ostatnia "Tentation" zwięzłością i dobrocią stylu, lecz pozostała tym, czym była: poematem samotnictwa, historią

duszy odludnej, nawiedzanej przez niesamowite marzenia, panoramą świata zmysłów i widm rozwiniętą nad ubóstwem egzystencji uproszczonej do znikomości. Szły coraz cięższe lata. Umarł Bouilhet, Duplan, Feydeau -- najbliżsi przyjaciele, umarł Juliusz de Goncourt, Gautier. Śmierć Luizy Colet poruszyła gorycz wspomnień. Na pogrzebie George Sand, powiernicy tylu lat, szlochał jak dziecko. Pochowawszy wreszcie matkę, człowiek pięćdziesięcioletni poczuł się sierotą. Całe życie był synem, nigdy nie wychodził spod tej opieki, która każdy dzień wygładza, żadnej godzinie nie dozwala zwinąć się w uwierającą fałdkę. "Od dwóch tygodni widzę, że moje biedne, dobre matczyisko było istotą, którą najwięcej kochałem. Jakby mi ktoś wyrwał część wnętrza." Zachował jej chustkę i kapelusz, nie rozstawał się z tymi rzeczami, chciał je mieć zawsze pod ręką, dotykać. Widok dzieci wrzasał go, nasuwał myśl o życiu zmarnowanym.

Starość i sława prowadzą zazwyczaj do zupełnego rozbrojenia. Tymczasem Flaubert nigdy nie był bardziej wojowniczy. Wszystkie zainteresowania umysłowe skupiły się teraz na nieprzeliczonych szczegółach nędzy ludzkiej, wszystkimi porami wdychał mdłą woń świata i jakby nią odurzony szamotał się w nieustannych porywach gniewu. Flaubert z tych lat najsilniej utrwalił się we wspomnieniach: olbrzym barczysty, łysy, z sumiastym wąsem i krzaczastymi brwiami, w szerokich hajda- werach i rozpiętym szlafroku, który w jego gwałtownych ruchach burzył się jak na wicherze, potężnym głosem, zdolnym prowadzić pułk jazdy wśród nawałnicy, pustoszył Francję, Europę, całą ziemię. Gdyby mógł, zgładziłby rodzaj ludzki i pognałby w przestworza glob opustoszały dokoła skromnej biblioteki klasyków.

W tym usposobieniu podjął pracę, którą dopiero śmierć przerwała. Była to walna rozprawa z nieśmiertelnym głupstwem i warsztat Flauberta zmienił się w archiwum, jakiego dotychczas nikt nie zgromadził. Tę książkę nosił w sobie od pierwszych momentów rozbudzonej świadomości, od pierwszego śmiechu Garęona. Znamienna była wierność, z jaką trwał przy pomysłach sięgających wczesnej młodości. Tak było z "Tentation", tak z "Saint Julien l'Hospitalier", zamierzonym w r. 1846 pod wpływem witrażu w starym kościele, a w miejscu najmniej oczę

kiwanym, w Damaszku, powstał plan "Dictionnaire des Idées Reçues", encyklopedii komunałów, która wreszcie miała się przydać do powieści "Bouvard et Pécuchet".

Fabula tej osobliwej powieści jest bardzo prosta. Przypadek łączy ze sobą dwóch starych kawalerów trudniących się przepisywaniem. Jeden z tych kopistów otrzymuje spadek, kupuje dom i kawałek ziemi, gdzie obaj spędzają resztę życia w spokoju, wśród zajęć gospodarskich i nauki, która im umykała wśród trosk o chleb powszedni. Odtąd książki regulują ich byt, ich poglądy, ich stosunek do świata. Krążąc w zawrocie sprzeczności, obijają się o ludzką nieufność, majątek topnieje, kłopoty wiejskie ich nużą, pociechę znajdują w kopiowaniu i będą dla własnej przyjemności przepisywali wszystkie głupstwa, którym służyli niewolniczo w okresie doświadczeń.

Była to więc rewia nonsensów, historia ułomności wiedzy ludzkiej, farsa idei. Flauberta uderzał komizm procesu, jakiemu ulega myśl filozofów i uczonych. Zawsze w swych początkach nowa, zuchwała i ostateczna, staje się śmieszna jak staroświecki strój, gdy jej miejsce zajmuje inna, która z kolei ma swój czas, swoją wiarę, ludzie nią żyją, są jej ulegli, wyłamanie się spod jej władzy piętnuje, naraża, przynosi ujmę lub szkodę -- i ona wreszcie schodzi między rupiecie umysłowe. Tworzy się ogromny lamus napelniony zgiełkiem sprzeczności, ludzkość, w automatyzmie ciągłych zachwyków i zgorzenia, przybiera groteskowy kształt dwóch starych głupców odgradzonych od rzeczywistości szacunkiem dla drukowanego słowa.

Praca, jaką włożył w inne dzieła, mogłaby się wydać rozrywką w porównaniu z tą, której wymagał cet infernal bouaquin. Tysiąc pięćset książek przeczytał, drugie tyle przejrzał, urósł ogromny tom notat, zapisanych jego drobnym, ciasnym pismem. Przeszedł w tych lekturach historię, archeologię, filologię, filozofię, religię, matematykę, astronomię, chemię, fizjologię, medycynę, botanikę, rolnictwo, nie tylko w dziełach uczonych i prawdziwej wartości, ale we wszelkich pracach popularnych i w mnóstwie książek sławnych ze swej głupoty. Nawiązywał korespondencję i stosunki ze specjalistami, używał wszystkich przyjaciół i znajomych do poszukiwań, krajał trupy w prosektorium, by się nauczyć anatomii.

Wyczerpany, wyjałowiony odetchnął przez jeden rok świeżym powietrzem swej dawnej twórczości, pisząc "Trois Contes". Był to jedyny wypoczynek, skuteczniejszy od wód i plaży. Ale znów wrócił do swej obsesji; organizm, wycieńczony pracą, bezsennością, zamkniętym trybem życia, rozpręgnął się i nie wytrzymał ataku apopleksji. Flaubert zmarł 8 maja 1880 roku, w wieku Racine'a, mając lat pięćdziesiąt dziewięć i cztery miesiące. Przewieziono go z Croisset do Rouen i pochowano w grobowcu rodzinnym.

I jeszcze jedno pozostało po nim dzieło, które, sam o tym nie wie

dząc, pisał w ciągu całego życia, najbardziej osobiste, pulsujące krwią wszystkich jego dni -- korespondencja, jeden z najciekawszych dokumentów ludzkich. Żyje w niej człowiek godny podziwu i miłości, taki, jakim był Flaubert, szczery, serdeczny, bezinteresowny, zapalczywy w swych sądach, srogi w pierwszych porywach, wytrwały jedynie w przyjaźni, w przywiązaniach, których grób nie zamykał, surowy tylko dla własnej sztuki, pobłażliwy dla tych, których kochał.

Nie było w nim żadnej małości, żadnego podstępu, nigdy nie osiągał nic z czyjąkolwiek szkodą. Ostatnie lata przyniosły mu niemal ubóstwo, musiał korzystać z pensji rządowej: cały majątek oddał na pokrycie bankructwa męża swej siostrzenicy, lecz daremnie szukać w jego Ustach słowa, którym by chciał podnieść swe poświęcenie. W czasach, kiedy Wiktor Hugo umiał wytapiać z wydawców miliony, jego książki, okryte sławą, nie przynosiły mu żadnych dochodów. Wolny od próżności, zabiegał o zaszczyty dla swoich przyjaciół, zwędrował niejedne schody o fotel w Akademii dla Baudelaire'a, Berthelota. Jedyną wyższość brał ze swej sztuki, ale i w tym był ponad miarę skromny, gdyż wszystko przypisywał swej cierpliwości. Nie mówił nigdy o natchnieniu, chyba z lekceważeniem, nazywał je balem maskowym wyobraźni, po którym zostaje tylko czczość i fałsz. Każde zdanie zdobywał szczerością i odwagą. Rzetelny, wytrwały, karny wobec obowiązków, które nie miały innego przymusu prócz jego woli, znosząc wszelkie utrapienia, jakimi go obarczało wysokie pojmowanie dzieła sztuki, podtrzymując się w chwilach słabości entuzjazmem dla wielkich mistrzów prozy, najwznioślejszym narkotykiem, stał się wzorem i jakby patronem cechowym pisarzy.

"Szkice"

POCHWALA WAZ GRECKICH

Wazy greckie, które nasze prababki nazywały "etruskimi*", znajdowane przy wszelkich wykopaliskach, spychano najpierw po kątach muzeów, potem wyznaczano im coraz zaszczytniejsze miejsce, aż w końcu stały się przedmiotem uczonych badań, pięknych publikacji, zachwyty i pasji kolekcjonerskiej. Jest dziś ich mnóstwo nieprzebrane we wszystkich zbiorach, na obu półkulach.

W starożytności nie okazywano im takiego szacunku: były to po prostu zwyczajne garnki. Chwalono czasem ich kształt udatny, ale nie zajmowano się ich ornamentyką, która w oczach ówczesnych artystów i znawców sztuki uchodziła za miernotę. W świecie greckim, jak się zdaje, nie było zbieraczy waz. Zjawili się oni dopiero w Rzymie, skąd zamawiano całe serwisy malowane, w Etrurii, głównej odbiorczą ceramiki greckiej, może w Egipcie, który już w drugim tysiącleciu p. n. e. był wrażliwy na piękno naczyń kreteńskich. Zresztą te wszystkie hydrie, krater, słoiki, puchary szły na cały świat, jak dziś idą articles de Paris albo industria veneziana,* spotykamy je w Rosji południowej, a nawet na naszych ziemiach.

I wszędzie zapewne nie były obojętne ich malowidła, które opowiadały dobrą nowinę o jakimś życiu niezmiernie ludzkim, upojonym poezją najcodzienniejszych rzeczy. Gdybyśmy nie posiadali waz, wszystkie marmury i brązy, wszystkie świątynie, wszystkie utwory literatury greckiej nie zastąpiłyby ich krasomówstwa. Bez nich nie znalazłbyśmy wielu mitów, wielu sekretów Olimpu ani wnętrza domu czy

szkoły, ani warsztatów rzemieślniczych, ani palestr, ani ulic, ani studni publicznych. Bez nich nie znalazłbyśmy kobiety greckiej. Panuje ona tu wszechwładnie. Widzimy, jak wstaje rano, jak schodzi do kąpieli, trzymając w jednej ręce zwinięty chiton, a w drugiej buciki, jak stroi się przed lustrem, przy stoliku pełnym puszek z pachnidłami i szminką, jak leży przy uczcie, pijąc wino z płaskiej czaszy, jak zbiera kwiaty, sadzi "ogródki Adonisa", plotkuje z sąsiadkami przed domem, jak wreszcie oddaje, miłości, z dobrą wiarą i bez odrobiny wstydu. Nagość jest tu równie częsta jak w wielkim świecie rzeźby, ale bardziej intymna, pozbawiona surowości i patosu. Są tu ciała młode i świeże, takie jakie pojawiały się w życiu, a ich prawdę zdają się potwierdzać postacie matron i starców opartych na lasce i z pogodą patrzących ku swemu zachodowi.

Piękne nagie ciało, tak samo jak mistrzów dłuta, uwodziło garncarzy. Rysowali je zawsze najpierw, a potem dopiero kilku kreskami narzucali na nie cień szaty. I jeszcze nie mogli się oprzeć, aby przy ślicznym chłopcu nie położyć napisu: "Kalos", i to słowo zachwytu powtarza się nieustannie, czasem samo jedno woła do nas z glinianego czerepka, na którym nic już nie ocalało z rysunku.

Ceramicy nie byli artystami w pojęciu swoich współczesnych, którzy widzieli w nich prostych rzemieślników. Uczyli się po kryjomu od sławnych mistrzów, kopiując obrazy, posągi, grupy z brązu, płaskorzeźby i okradając samych siebie z pomysłów. Nie robili tego jednak mechanicznie i bezdusznie; nienawidzili szablonu; trudno by było znaleźć dwa rysunki identyczne. Żył w nich niespokojny duch sztuki greckiej, który parł ich ku formom coraz doskonalszym)

Na początku były geometryczne: odważano się tylko na linearne ozdoby. Powoli z tych linii prostych i falistych, z kótek, trójkątów, kwadratów, swastyk wyłania się kanciasta, pocieszna postać ludzka, jakby wycięta z kartonu. Kiedy rzeźby uczą się swobodnie oddychać i niebawem wyrzekną się swego bezbronnego uśmiechu, jednocześnie i figurki na wazach budzą się do nowego życia. W Atenach V wieku ceramika osiąga szczyt wytworności, prostoty i umiejętności rysunku. I tak aż do przesadnych, barokowych malowań południowo-italijskich, idąc przez wszystkie kraje i wyspy Hellady, w nieskończonym szeregu bezimiennych twórców, z których każdy dorzuca jakiś osobliwy kwiat swego natchnienia -- wazy opowiadają pełną przygód historię greckiego geniuszu.

Owi dziwni rzemieślnicy nie zadowalali się raz osiągniętym sukcesem, lecz szukali coraz nowych trudności, gnąc ciało ludzkie we wszystkie (najrzadsze postawy, rozwiązując najumiejtniej problem ograniczonej przestrzeni, przerzucając się z naturalizmu do stylizacji. Obierają tematy najpodnioślejsze, to znów zupełnie ordynarne. Historia religii posługuje się dziś ich malowidłami, tak jakby to były dzieła teologów; w scenach sportowych ich wzrok zadziwia bystrością, ma się nieraz wrażenie, że patrzymy na zdjęcia migawkowe. Cóżanne posyłał swych uczniów na studia do tych ciurów triumfu greckiego.

Wielu spośród tych skromnych artystów nie ceniło swej sztuki na tyle, aby przekazać swe imię potomności, ci zaś, którzy podpisywali się na wazach, najczęściej grzeszyli przeciw gramatyce i ortografii: nie należeli do elity umysłowej. Najbardziej znani byli bogatymi fabrykantami, których warsztaty obsługiwali niewolnicy. Prowadzili życie

wesołe, z którego nieraz spowiadali się w swoich obrazkach; widzimy ich w gronie heter i domyślamy się łatwo, że służyły im one jako modelki. Nie krępowała ich żadna cenzura; mogli malować, co im się podoba, i w pełni korzystali z tej swobody. Ryzykowność scen, jakie nieraz przedstawiali, nie odstraszała ich klienteli. Jurne bezceństwo satyrów nie dyskwalifikowały garnka, na którym były wymalowane, i nikt nie krępował się podać w nim zupy, a jedną z najzuchwalszych waz znaleziono w grobie; nosi ona ślady długiego używania, była parę razy w naprawie i bezimienny nieboszczyk miał jeszcze nadzieję pić z niej nektar nieśmiertelności.

Garnkarze greccy pięknie zasłużyli się swojej ojczyźnie. Przekazali o niej opowieść najdokładniejszą, najbardziej powabną, jaką można sobie wyobrazić. Wyręczyli w tym literaturę, która dążyła tylko do wielkich, monumentalnych kształtów, z pominięciem tzw. pospolitych szczegółów. Swym cudownym pędzelkiem stworzyli to, czego świat antyczny nie posiadał: powieść obyczajową. Przez nich nie tylko ludzie, ale i zwierzęta, i rośliny, i przedmioty codziennego użytku doczekały się nieśmiertelności. To oni dochowali nam wszystkie sprzęty od stołu do górniczego kilofa, od łyżki do liry; to oni zaopiekowali się psem, zajęcem, ptakiem w klatce i tylko u nich dzieci biegną za kołem, a chłopcy grają w piłkę, i również tylko u nich ludzie siedzą przed domem i pokazują na niebie pierwsza jaskółk[^]wi[^]nv[^]Ma[^]r__{two greckie, oparte o legendarne imiona: Polignota, Apellesa, Dzeuksisa, Timomachosa, przepadło doszczętnie; nie posiadamy z obrazów mistrzów nawet wiarogodnych kopii. Czym ono jednak mogło być, dają świadectwo te skromne roboty rzemieślnicze.}

"Szkice"